

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 4 czerwca 1950 r.

Nr 22 (236)

TREŚĆ NUMERU: Władysław Dulęba — Przekłady z klasyków chińskich; Jean Jacques Brieux — Osiągnięcia; Graham Greene — Spotkanie; Kazimierz Piekut — Nabożeństwo majowe; Natalia Rykaczewska — Arabska Ewangelia Dzieciństwa; Rozmowa z ks. prof. Kazimierzem Klóskiem; Na półkach księgarskich; Tydzień kulturalny; Co piszą inni...

Mikołaj Rostworowski

NA DRUGIM ETAPIE

Kiedy przed niespełną dwu laty Konstanty Łubieński formułował na łamach „Dziś i Jutro” tezy o konieczności akceptowania socjalistycznych form ustroju społeczno-gospodarczego, celem wnoszenia w nie ducha chrześcijaństwa, wielu spośród czytelników odczuło to jako ciężki kamień obrazy, lub co gorsza próbę niebezpiecznej dywersji we własnych szeregach. Zgorszenie wówczas wywołane ma leże do rozmiarów błędnego incydentu, skoro patrzymy na nie z perspektywy ostatnich wydarzeń, normalizujących stosunki między Kościołem i Państwem. Większość sądów tak wtedy niektórych epatujących doczekała się najbardziej autorytatywnego potwierdzenia i prawdopodobnie coraz mniej znajdzie się nieprzekonanych, skłonnych do otwartego ich kwestionowania.

Byłoby jednak niedopuszczalnym błędem, gdyby fakt ten oddziaływał na nas usypiająco, zamiast stać się bodźcem do nowych, bardziej precyzyjnych sformułowań ideologicznych. Z gorzkiej lekcji ostatnich lat żadnej innej nauki nie podobna wysnuć, prócz tej, że nie ma wpływu na bieg wypadków, kto daje się im wyprzedzić. Gdyby dla większości nas prawda ta była równie oczywista wtedy, jak oczywista jest dzisiaj, może uniknęlibyśmy wielu bolesnych omyłek.

Obecnie, kiedy stanęliśmy u progu drugiego etapu, warto już zawnosić staranie o ustalenie zasadniczych linii kierunkowych, mających wytyczyć drogi rozwoju życia katolickiego w Polsce. Temu celowi chce służyć m. in. ta krótka seria rozważań.

Od razu jednak wypada nadmienić, że nie są one przeznaczane dla niezbyt licznej na szczęście grupy katolików, negatywnie oceniających fakt Porozumienia. Przedmiotem ich będzie jedynie problem właściwej postawy tych wierzących, którzy jednogłośnie, choć z różnorakich przyczyn wyrażają swą wdzięczność dla ostatniej decyzji naszego Episkopatu.

NIEBEZPIECZNE ZŁUDZENIA

Wśród tak wyodrębnionej, ogromnej zresztą większości społeczeństwa katolickiego, można niekiedy napotkać, dziś szczególnie zasługujące na dogłębną rewizję, dwa stanowiska. Mam tu na myśli konserwatystów i tych, którzy, nie klarując swoją postępowość, zdają się mniemać, że wnoszenie ducha chrześcijaństwa w formy socjalistyczne da się urzeczywistnić jed-

nie na drodze umiejętności operacji natury taktyczno-politycznej. Te stanowiska różnią się tylko formalnie. W istocie wywodzą się one z jednego pnia, typowej dla mentalności mieszczańskiej, nieprzewycięzonej dotąd skłonności do sztucznego szufladkowania całokształtu zjawisk, do widzenia rzeczywistości „oddzielnie”.

Tak więc, jeżeli idzie o katolików społecznie-konserwatywnych, nawykłych do rozumienia historii wycinkowo i statycznie — „słoną” pigułkę normalizacji stosunków przekłknęli oni tym łatwiej, im silniej są przekonani o stabilności przegrody, która ich zdaniem od dnia 14 kwietnia A. D. 1950 ma chronić katoliki „rezewat” przed „katastrofalnym” naporem rewolucyjnego „chaosu”. Jednostki, które nie są uwrażliwione na dynamiczną logikę dziejów, ludzie, dla których wraz z zachwianiem dotychczasowych podstaw materialnych cały świat stanał na głowie, — poczuli wreszcie stały grunt pod stopami. Skodyfikowana umysłowość w radosnym podnieceniu lgnie do ustawionych w równiuteńki rząd paragrafów i rzeczowej formule prawnej skłonna jest przypisywać właściwości zgoła magiczne. Jakżeż złudną jest ta pozbawiona wyobraźni nadzieja na kultywowanie ogródka własnych przyzwyczajzeń pod osłoną politycznych gwarancji. Ilekroć nieroztropności kryje się w postawie ludzi, którzy zamiast zadać sobie trud wychwycenia merytorycznie ważnych dla katolicyzmu w Polsce korzyści, niesionych przez akt normalizacji stosunków, bałamucają się osobistymi impresjami, dla których Porozumienie stanowi pretekst tylko. Tymczasem Porozumienie gwarantuje przede wszystkim to, co jeden z polskich myślicieli określa jako „ciszę kościoła”. Wydaje się, iż nigdy niedostateczne będzie przy pominaniu wyżej scharakteryzowanym jednostkom, że jeśli obcy im jest duch apostołstwa, jeżeli nie dostrzegają konieczności nasycania świeżych treści społecznych duchem Ewangelii, to przynajmniej niech zechcą uszanować cięszą towarzyszącą rozdawnictwu Łaski. W rzeczywistości ogarniętej wrzeniem rewolucji nie ma miejsca dla konserwatywnych ogródków, opatrzonych na domiar złego katolicką etykietą.

Niemniej niebezpieczną pokusą, niż chęć osłaniania katolicyzmem socjologicznie uzasadnionych nawyków, jest dla katolika przekonanie o **przymacie** pociągniętej polityczno-taktycznych. Niejednokrotnie może ono płynąć ze szlachetnych pobudek, jednak w osta-

tecznym rezultacie musi doprowadzić do zatracenia nieodzownego pionu. Konsekwencje zbyt wysokiego za wierzenia umiejętności politycznym bywają bowiem nieodmienne te same: rodzą tendencję podporządkowania zagadnień nadrzędnych doraźnym, zautonomizowanym potrzebom. Czyż można się potem dziwić brakowi autorytetu i nikłej sile atrakcyjnej doktryny modyfikowanej zależnie od okoliczności przez równie niefortunnych, ile giętkich jej głosicieli? Zgódźmy się: ani społeczna izolacja, ani wyłącznie polityczne ustalenie nie stanowią pozycji, z której w sposób skuteczny można by przenikać duchem chrześcijaństwa burzliwy nurt epoki.

ZNAKI SZCZEGÓLNE KATOLICKIEJ POSTAWY REWOLUCYJNEJ

O konieczności konkretnego zaangażowania katolików we współczesność pisaliśmy wiele. Nie pora zatem jeszcze raz przytaczać wszystkie rzeczowe argumenty dla wsparcia twierdzenia, że **jedynie zes tanowiska rzetelnej akceptacji tych słusznych tendencji naszego czasu, które zadczydują o kształcie przyszłego świata da się realizować społeczną prawdę Ewangelii**. Potraktujmy więc tę tezę, jako aksjomat i spróbujmy choć w przybliżeniu określić, co rozumiemy pod mianem **katolickiej postawy rewolucyjnej**. Czy zalecana zgodność z duchem epoki ma oznaczać postulat mechanicznej zgody na rzeczywistość, kształtowaną cudzymi rękoma przy jednoczesnym zastrzeżeniu sobie prawa do praktyk religijnych, wykonywanych wyłącznie na „własny użytek”? A może obowiązek apostołatu jawi się nam w postaci wyniosłego mentorstwa rewolucji? W pierwszym wypadku, niestety, tracimy prawo do nazwy katolików, bo członkiem Kościoła nie jest się tylko w pewnych ustalonych godzinach, lub „prywatnie”, ale zawsze i w każdej sytuacji życiowej. Jeżeli zaś idzie o drugą ewentualność, to nie łudźmy się, że ktokolwiek zechce się z nami liczyć tylko dlatego, że umiemy ładnie mówić.

Dlatego, zanim przejdziemy do precyzowania rysów, które naszą postawę od postawy marksistów winny wyróżniać, warto by przy swoich własnej mentalności prawdę o **wszechzwiązku zjawisk**, o której marksisti pamiętają na co dzień, a my tylko wówczas, gdy sięgniemy po **Summę Św. Tomasa**.

W świetle wspomnianej oczywistości odpadają wszystkie, zawsze grożące **katolickiej działalności**

społecznej niebezpieczeństwa przez wagi taktyki nad życiem chrześcijańskim.

Jeżeli katolik w swoim działaniu politycznym lekceważy porządek nadprzyrodzony, który podług naszej koncepcji rzeczywistości jest koniecznym uzupełnieniem porządku przyrodzonego — taki katolik jest nie tylko mierzalnym wyznawcą, ale po prostu **złym politykiem**. Złym nie tylko w praktycznym znaczeniu zmniejszonych szans oddziaływania na współwyznawców, ale przede wszystkim jako ktoś nie ogarniający wszystkich sił motorycznych, wyznaczających rzeczywistość.

Najważniejszym celem katolickiej akcji politycznej jest **człowiek**. Dla katolika o niedostatecznie pogłębionym życiu wewnętrznym, uczestniczącym aktywnie w rewolucji, której uwaga jest skupiona przede wszystkim na przemianie dotychczasowych struktur społecznych, na rewizji zastanych poglądów — dla takiego katolika istnieje zawsze niebezpieczeństwo zajęcia postawy polemicznej, agresywnej wobec bliźniego. Wyłącznie **zewewnętrzna polityczna postępowość**, choćby najbardziej katolickie cele, mająca na uwadze, musi doprowadzić do fiaska. Dlaczego? Dlatego, że katolik nastawiony jedynie na działanie zewnętrzne, w odniesieniu do samego siebie ogranicza się tylko do **stłumienia** złych społecznych nawyków, z którymi u innych walczy, **przewyciężyć** ich w sobie całkowicie — nie potrafi.

W **negacji**, w potępieniu siebie i innych umiemy wówczas być bardzo szczerzy, ale, skoro przechodzimy do formułowania sądów pozytywnych, stwierdzenia nasze brzmią fałszywie i deklaratywnie. Powód jest jasny: poprzestając tylko na **walce ze złem**, chcąc nie chcąc pozostajemy z nim związani po prostu w sensie antytezy. Żeby móc stworzyć nowe wartości i zarażać bliźnich własną rewolucyjnością, trzeba jednocześnie się uporać z sobą samym. Katolik rewolucjonista musi przeżyć dramat **swego istnienia, swojego grzechu i swoich socjologicznych obciążeń**. „Musi się narodzić i ciągle odradzać nowy człowiek”, jak mówi św. Paweł. W przeciwnym wypadku, walcząc tylko politycznie o nowy, lepszy świat będziemy stale odczuwali palącą potrzebę pełniejszego i sprawiedliwszego życia. Nie znajdując jej zadośćuczynienia we własnej postawie z tym większą dozą agresywności będzie my traktowali bliźnich, którym naszym zdaniem tej potrzeby nie odczuwają. **Czyż należy dodawać,**

że w ten sposób nigdy ich nie pozyskamy?

W rezultacie musimy stać się świadkami gorszącego paradoksu, kiedy katolik wyżywa w swej działalności politycznej własne kompleksy wyższości czy niższości, swoje niezrealizowane potrzeby wewnętrzne. Polityka, wypełniająca całe życie wewnętrzne, staje się po prostu ucieczką od życia. W szerokich problemach społecznych gubi się jakże istotny problem **własnej indywidualnej odpowiedzialności**.

Cały ten przydługi wywód o potrzebie doskonalenia wewnętrznego bynajmniej nie jest próbą zachęty do politycznej dezercji. Ma on jedynie nam uświadomić, że im bardziej radykalną postawę zajmujemy w życiu politycznym i społecznym, tym rzetelniejszy winien być jej odpowiednik w stosunku do nas samych. Inaczej mówiąc, **pogłębienie własnego życia wewnętrznego jest, naszym zdaniem, warunkiem sine qua non prawdziwej skuteczności politycznego działania katolików**.

W dziedzinie politycznej rewolucjonista bowiem musi ustawicznie toczyć walkę, a walczyć inaczej niż różniąc się od innych. Rewolucjonista katolicki winien jednak równocześnie pamiętać, że walczy tylko i jedynie z wadliwą strukturą społeczną, z fałszywymi poglądami. Walczy dla człowieka. **Toteż na płaszczyźnie kontaktów osobowych, w dziedzinie działania bezpośredniego od jednostki do jednostki katolicka postawa rewolucyjna musi być postawą miłości**. Miłości bez względu na to, z kim mamy do czynienia, pamiętając zawsze o duszy bliźniego, która, jak się ktoś niedawno wyraził w liście pisanym do nas, „jest stworzona na obraz i podobieństwo Boże nawet wtedy, kiedy jest zgniła...”

KSZTAŁT UCZESTNICTWA W REWOLUCJI

Jeżeli z tego, co do tej pory powiedzieliśmy, zechcemy wysnuć odpowiednie wskazania dla postawy katolików polskich na dziś, zawrą się one w lakonicznym postulat: **trzeba nam rewolucyjnego społecznie katolicyzmu głębi**. Inaczej mówiąc, weszliśmy w okres, w którym każdy katolik skazany jest na postawę meżnego życia. Zawsze byliśmy w tej sytuacji. Poucza o tym każdy katechizm, mówiąc o świętości, która jest warunkiem zbawienia. Do tej pory jednak tylko Kościół miał możliwość interwencyjnego względu w sprawę autentyzmu naszej katolickości. **Tak jest i teraz, lecz obec-**

nie funkcje dodatkowego sprawdzianu słuszności naszej postawy doktrynalnej — przejmując gorący nurt historii. Nasz czas żąda od nas legitymacji. Doskonale wewnątrz w równym stopniu, jak postępowość w życiu zewnętrznym, nie ogranicza się do sprawy naszego sam na sam z Bogiem. Jest także obowiązkiem wobec całej społeczności kościelnej i wobec świata, który nie zna Boga. W tym miejscu docieramy do problemu praktycznego współżycia z rewolucjonistami nie - katolikami. Byłoby naiwnością przypuszczać, że pójdzie drogą najmniejszego oporu, próba mechanicznej akceptacji wszystkiego, co głoszą inni, może przysporzyć korzyści nowemu światu. Z drugiej strony niedostrzeżenie, że rewolucja jest czymś znacznie więcej, niż przewrotem społeczno - gospodarczym, to także objaw iście kurzej ślepoty. Na naszych oczach dokonuje się wielki przełom światopoglądowy, nasze dotychczasowe poglądy wszędzie tam, gdzie były one wynikiem anachronicznej syntezy prawd żywych z martwymi treściami czasu, który odchodzi, muszą być poddane surowej rewizji. Świat domaga się nowej syntezy. Damy ją tylko wówczas, gdy potrafimy być w tym świecie obecni. A obecność kształtująca oblicze epoki, jest uwarunkowana sprostaniem palącym potrzebom współczesności, przy jednoczesnym zachowaniu wystrzeżonej czujności doktrynalnej i nieustannym pogłębianiu własnej postawy wewnętrznej. Sądzę o współczesności, dyrektywy służenia jej — wszystko to musi

stać się funkcją naszych własnych przemyśleń i rozpracowań. Moment, w którym rozpoczniemy mechanicznie akceptować to, co wymyślili inni, będzie pierwszym zwiastunem naszej zubożności. Dlatego chociaż nie wolno nam pominać obojętnym wzruszeniem ramion żadnego słusznego postulatu, pochodzącego ze strony odmiennej doktrynalnie, musimy równocześnie zabiegać o maksymalnie zgodne z naszą wiedzą o rzeczywistości i człowieku, jednym słowem katolickie wcielenie tego postulatu w życie.

Nie ma dziedziny aktywności ludzkiej, która by mogła być dla katolika doktrynalnie obojętna, wobec żadnej nie można zgłosić doktrynalnego desinteresement. Natomiast pozostaje otwartym pytaniem, w jakim stopniu spetryfikowaliśmy odziedziczone poglądy, które często mogą nie stanowić obowiązującej nas po wsze czasy prawdy, a po prostu historycznie uwarunkowany stop światopoglądowy.

Jeżeli potrafimy udowodnić marksistom, że te ich wszystkie słuszne cele, które według nas wchodzą w zakres przysługującej każdemu człowiekowi autonomii doczesności że te ich ideały nie tylko są nam bliskie, lecz ponadto zamierzamy poszerzyć je i uzupełnić o to wszystko, co w katolicyzmie wiecznie żywe i twórcze — wtedy dopiero wolno nam będzie twierdzić, że problem możliwości, wynikających dla nas z Porozumienia, rozwiąaliśmy bezbłądnie.

Mikołaj Rostworowski

Ruch wydawniczy

PODRĘCZNA ENCYKLOPEDIA MUZYKI

Z radością powitaliśmy wiadomość o podjęciu uchwały przez Komisję do Spraw Kultury przy Prezydium Rady Ministrów o wydaniu „Słownika języka polskiego” oraz albumów malarstwa polskiego, a także o rychłym ukazaniu się pierwszych zeszytów Polskiego Słownika Plastycznego.

Podobnie z radością i zaciekawieniem wzięliśmy do ręki dwa pierwsze zeszyty „Podręcznej Encyklopedii Muzyki”, opracowanej przez Józefa W. Reissa, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, znanego muzykologa i autora wielkiej „Historii Muzyki”.

Z obszernego wstępu wydawcy Tadeusza Zapiera („Wiedza — Zawód — Kultura” — Kraków) dowiadujemy się, że myśl wydania encyklopedii powstała w najcięższych latach okupacji hitlerowskiej, w roku 1943, kiedy na zamku wawelskim urzędował gubernator Frank, a wszelkie przejawy naszego życia kulturalnego i umysłowego były bezlitośnie krwawo tępiące. Myśl ta była żywym protestem a zarazem objawem naszej prężności kulturalnej i wyrosła z największej troski o los kultury narodowej.

Nowe warunki naszego życia po zakończeniu wojny postawiły nowe zadania i postulaty tego rodzaju wydawnictwa. Trzeba było Encyklopedię przebudować i uzupełnić najnowszymi wiadomościami i faktami, zaszliśmy w czasie wojny i po wojnie na szeroki świat.

W Encyklopedii znajdujemy zwięzłe wiadomości o wszystkich zagadnieniach muzycznych, wchodzących w zakres współczesnej kultury muzycznej, jak i wiadomości biograficzne o najwybitniejszych kompozytorach polskich i obcych.

Encyklopedia ma charakter informacyjny, popularno - naukowy i przeznaczona jest nie tylko dla kompozytorów, nauczycieli śpiewu i muzyki, artystów muzyków, ścieżkaczyw konserwatoriów, liceów i szkół muzycznych, ale dla każdego kulturalnego człowieka, który bywa na koncertach, przedstawieniach operowych, słucha radia i pogadank muzycznych. Toteż powinna znaleźć się nie tylko w bibliotekach szkolnych, fabrycznych i zakładowych, ale i w księgozbiorach ludzi pracy.

Encyklopedia liczyć będzie od 6-7 zeszytów, z których każdy zawierać będzie 160 stron. Cena zeszytu wynosi zł 680 plus 100 zł zaliczki na zeszyt ostatni.

Tak pożyteczne wydawnictwo bez-

wątpienia znacznie przyczynił się do odbudowy naszej kultury i wiedzy muzycznej oraz do jej upowszechnienia. Powodzenie ma zapewnione.

„DOBRA KSIĄŻKA — INFORMATOR DLA CZYTELNIKÓW”

Wobec chronicznego braku historii literatury polskiej i obcej oraz opracowań krytycznych współczesnej twórczości polskiej większość czytelników nie posiada najważniejszych wiadomości biograficznych o autorach, o ich twórczości.

Toteż dobrze się stało, że Spółdzielnia Oświatowo - Wydawnicza „Czytelnik”, trzymająca rękę na pulsie naszego ruchu wydawniczego i mająca duże zasługi w dziele upowszechnienia czytelnictwa — zainicjowała nowe wydawnictwo „Dobra książka — Informator dla Czytelników”.

Są to jednoarkuszowe broszurki, na dobrym papierze, z portretem autora. Zawierają one lakoniczne, ale zupełnie wystarczające wiadomości o autorze, omawianej książki, przedstawiają tło historyczno - społeczne, na którym rozwija się akcja powieści, sygnalizują wartości literackie książki.

Każdy zeszyt zaopatrzone jest w bibliografię dodatkową, to jest kilka tytułów książek powiązanych z okresem historycznym, bądź z tematem omawianej książki.

Daje to możliwość czytelnikowi pogłębienia i uzupełnienia zakresu wiadomości.

W ten sposób wydawnictwo stanowi nie tylko tylko przepis do książki, ale samodzielny materiał do studiów nad dziełem.

„Dobra książka” odda wielką pomoc, nie tylko szerokim masom czytelników, ale działaczom oświatowym, kierownikom świetlic, bibliotekarzom, nauczycielstwu i młodzieży szkolnej.

Dotychczas ukazały się dwa pierwsze zeszyty, omawiające powieści Elżyny Orzeszkowej: „Dziurdziowie” i „Marta”. Trzeci zeszyt poświęcony jest K. Deczyńskiemu, Jego wspomnieniem „Pamiętniki chłopca - nauczyciela”.

Dalsze zeszyty, które znajdują się w druku, poświęcone będą: L. Rudnickiemu („Stare i nowe”), A. Makarence („Poemat pedagogiczny”), L. Kruczkowskiemu („Kordian i chłamek”), J. Kruszczyńskiemu („Stara baśń”), St. Sempolowskiej („Na ratunek”), S. Mściślawskiemu („Szpak, ptak wiosny”), a Serafimowiczowi („Żelazny potok”) i M. Pujanowej („Ludzie na rozstajach”).

Stanisław Podlewski

Władysław Dulęba

Przekłady z klasyków chińskich

(według tłum. niemieckiego)

Skarga gwardzistów

Generale!
My szczyble w cesarskiej drabinie!
My fale rzeki, która w morzu ginie...
Nasza czerwona krew na darmo płynie...
Generale!

Generale!
My orły cesarskie i sowy!
Nasze dzieci głodują... nasze żony wyją...
A nasze kości w obcej ziemi gniją...
Generale!

Generale!
Z twoich oczu pada na nas postrach nowy!
A gdzież za wierną służbę nagroda matczyzna...
A która z naszych matek tuli jeszcze syna?
Generale!

(Szi-King)

Pieśń dla żołnierza

Żołnierzu, jesteś moim bratem,
Idziemy ramię w ramię.
Dziś cesarz wojnę rozpoczyna,
Nie uszczęśliwi cię dziewczyna.
Żołnierzu, jesteś moim bratem,
Idziemy ramię w ramię.

Żołnierzu, jesteś moim bratem,
Jeżeli stracisz szablę,
To ja ramieniem cię zastonię,
Lub jak brat zginę w twojej obronie.
Żołnierzu, jesteś moim bratem,
Jeżeli stracisz szablę.

Żołnierzu, jesteś moim bratem,
Gdy błyszczą nasze kości.
Księżyc jak żółty dym nad nami,
Krzyk małpy między bambusami.
Żołnierzu, jesteś moim bratem,
Gdy błyszczą nasze kości.

(Szi-King)

Zmęczony żołnierz

Brzydka dziewczyna. Kwiaty w żywopłocie.
Ona stoi przy drodze. Ja idę, odchodzę.
Idziemy wszyscy: szereg przy szeregu,
Głowa przy głowie.

I co z nas każdy wiedzieć może
O świętych źródłach i wiejskim słońcu zachodzie?
Przebija mnie tysiąc noży,
Męczy mnie każdy zabijany człowiek.

Oczy dziecięce są jak złote deszcze,
A czara wina z ich rąk blaski bierze.
Chciałbym pod drzewem położyć się jeszcze
I przestać być żołnierzem.

(Szi-King)

Nagrobek wojownika

Kwiaty zawilców zabłysły spod śniegu.
Dziecko zabawia się swym sercem. Placze
Nas, zamieszkałych na studziennym brzegu
I wschód i zachód słońca tylko raz zobaczy.

A od gór przecież zawsze strumień płynie
I naszym żonom świeci księżyc łzawy
I jesień zawsze toczy złotą dynię
I świerszcz jak zawsze odzywa się z trawy.

Wielu szlachetne rumaki nosiły.
Chwałę tysiąca bitew wiatr powiewa.
Cóż pozostało? Spróchniałe mogiły
W dzikich burzanach i kolących krzewach.

(Kong-Fu-Tse)

Opuszczona

Pełna miłości jestem i wzruszona
Wiatrem, jak drzewo obsypane kwieciami.

Kwiaty brzoskwini obsypały konar,
A moje drzewo świętem wiosny świeci.

A teraz wiatr jesienny dmie od morza.
Ja stoję brzydka, z owoców opadła.

Prószy popiołem. Na twarzy mam pożar.
Gałąź brzoskwini aż nadto pobladła.

Autor nieznany

Jazda

Dcesz dymi. Lasy jak psy ciemne
Wyskakują naprzeciw. Świątynia. Nabożnie
Dźwięczy ranek. Skośne słońce wisi
Jak przyćmiona latarnia we mgle.

O co za szczęście siedzieć na zwierzęciu
I mieć skrzydła na złocistym łanie!
Strzała. Bledną. Koń dęba
Staje do światła. W jego pustych oczach
Przerażenie wyrasta jak czarna wieża.

Autor nieznany

Dziki myśliwiec

Oto dzielny myśliwiec,
Z sokołem w garści pędzi poprzez pola.
My tu mądrości strzeżemy troskliwie,
A on jest dzikim światem,
Prawdziwym światem.

Gdy galopuje wichrem ogarnięty,
Ledwo za nim własny cień nadąży,
Nawet księżętom nastaje na piętę.
Cóż stąd? On księżę,
Prawdziwy księżę.

Dwa żurawie położył od jednego strzału.
Mędrzec siedzi za oknem bładę, przygarbiony
A dzikiemu jeźdźcowi małżonka śle calus.
Kocha go piękna młoda żona.
Prawdziwa żona.

Autor nieznany

Jean Jacques Brioux

Chiny Mao Tse-tunga 3)

O S I A ̇ G N I ̇ C I A



Gmach, w którym odbywały się posiedzenia Ludowego Zgromadzenia Konsultatywnego.

„Chiny przygasają — mówicie, a ja wam odpowiadam: „Chiny przygasają ale jest w nich blask, poszukajcie go”.

Pascal

PRZESŁANKI REFORMY ROLNEJ

Dać ludowi władzę polityczną było jednym zadaniem a dać mu władzę ekonomiczną było zadaniem innym. Jednocześnie z nadawaniem mu prawa rządzenia trzeba było nadać mu prawo zabiegania o zaspokojenie potrzeb, trzeba było doprowadzić do tego, aby narzędzia produkcji stały do dyspozycji wszystkich a nie kilku wybranych. Jeśli chodzi o odcinek wiejski, w strefach, które pierwsze zostały wyzwolone przez komunistów reforma rolna została przeprowadzona całkowicie, ziemia zabrana panom i podzielona pomiędzy mieszkańców wsi. Potem ze względu na walkę z najeźdźcą wstrzymano częściowo dalszą realizację tej reformy strukturalnej. Podział ziemi był od tej pory dokonywany przede wszystkim w tych wypadkach, jeśli wielki właściciel ziemski współpracował z Japończykami i dobra jego zostały skonfiskowane. Natomiast wysokość czynszu dzierżawnego za ziemię została dokładnie uregulowana przez odpowiednie przepisy. Czynsz ten ustanowiony w postaci procentu od zbiorów i wynoszący dotychczas od 50 do 75 procent został zmniejszony do maksimum 37 proc. Poza tym chłopom mieli zwyczaj zaciągania pożyczek albo od ludzi pożyczających pod zastaw albo od samego swego pana. Procent od takich pożyczek był zawsze niesłychanie wysoki: 30, 50 a czasami 100 proc. rocznie. Chłop musiał więc zastawiać swój przyszły zbiór. Znajdując się w trybach stale powiększających się procentów nie mógł się ich nigdy pozbyć, będąc teoretycznie wolny znajdował się właściwie w sytuacji niewolnika zmuszonego pracować wyłącznie na swego finansistę. Stawka procentowa od pożyczek została więc ustalona na maksimum 10 proc. rocznie.

Kontrakt dzierżawny stał się przymusowy. „Zrzeszenie Chłopskie”, organizacja wiejska, reprezentująca interesy chłopów, została obarczona zadaniem sprawdzania i pilnowania tych kontraktów, które dla obu partnerów stawały się prawem.

Wreszcie państwo postanowiło nie odbierać w formie podatków

zbyt wielkiej części zbiorów. W strefie Kuomintangu cała plejada pośredników, zajmowała się zbieraniem podatków i dbała o to, by odpowiednie zyski schować do kieszeni. Teraz podatek nie może przekraczać 15 proc. całkowitych zbiorów, a był to jedyny podatek płacony przez chłopów. Natomiast skala jego została ustalona progresywnie od 0 proc. dla najbiedniejszych do 30 proc. dla właściciela, który ze swojej własności ciągnął dochody. Dla średniorolnego przeciętna skala wynosiła 5 proc.

Wreszcie została zlikwidowana korupcja. Praktyczne przepisy położyły kres tej pladze ancien regimu. Dawniej rząd centralny obliczwszy swoje wydatki na przebieg roku żądał od każdego zarządcy prowincji nadesłania przypadającej na niego części pieniędzy; zarządca z kolei rozkładał sumę, której potrzebował na podległe mu okręgi. Była to suma, która obejmowała to, czego żądał rząd centralny, powiększona o pewien odsetek na koszty techniczne i procent od pieniędzy (gdyż zarządca musiał często wysłać naprzód państwu ogólną sumę podatku ze swoich własnych pieniędzy).

W okręgu żądana suma znówu wzrastała, we wsi wzrastała również. Tak, że w końcu jeśli byśmy zliczyli to co zapłacili chłopom zobaczylibyśmy, że suma ta byłaby dwa, pięć, dziesięć razy wyższa od nominalnej wysokości podatku. Tymczasem władze ludowe działają bez pośredników. Każdy obywatel za pomocą tabelki może teraz obliczyć czekający go podatek. Z drugiej strony suma potrzebna na ściąganie podatków jest kontrolowana przez zarząd wioski co bardzo utrudnia wszelkie nadużycia.

Rząd dążył również do podniesienia poziomu produkcji. W różnych uwolnionych dzielnicach kraju żołnierze i urzędnicy brali czynny udział w walce o podniesienie produkcji. Doświadczenie Nannwan, nazwane tak od nazwy dzielnicy w której było przeprowadzone, gdzie 359 brygada otrzymała polecenie udowodnienia wszystkim, że obywatel Chin Ludowych potrafi być równie dobrym rolnikiem jak jest dobrym żołnierzem, i oddała pod uprawę ziemi do tej pory nie uprawiane osiągnawszy z nich bardzo dobre rezultaty, miało wielką wartość przykładową.

Około 1945 roku, uwolnione okolice strefy frontowej otaczającej Yenan obejmowały około 500.000 km² czyli mniej więcej

plaszczynę równą powierzchni Francji. Otóż na terenach tych mieszkało tylko 2 miliony ludzi, a wielkie płaty ziemi leżały odłogiem.

System rolny, który został przekazany w spadku był systemem niesprawiedliwym: wielkie obszary były niedostatecznie uprawiane z powodu braku rąk do pracy a właściciele małych terenów obarczani dziećmi, nie mieli dosyć ziemi aby każdemu dać na niej pracę. Tak więc w pierwszej grupie zachodziło marnotrawstwo ziemi, w drugiej zaś marnotrawstwo pracy. W tym okresie niejaki Wu Man-You, zorganizował grupę wytwórczą, która odniosła taki sukces, że uznano ją za wzór dla całego kraju. Powolotku wobec sukcesów jakie odnosiły wsie, które przyjęły system Wu Man-You przyjęły go wszyscy.

Strefa frontowa składała się z ziemi nad wyraz żyznej. Ziemia ta niestety okresowo padała ofiarą susz tak silnych, że aby móc doprowadzić do jej zaludnienia trzeba było produkować tyle aby móc stworzyć rezerwy, które by nie pozwoliły okresom suszy przetrwać się w okresy głodu. „Trzyletnie zbiory w dwa lata” — oto jak brzmiał program.



Ochotnicy Armii Ludowej.

Podniesienie produkcji osiągnięte zostało dzięki zastosowaniu systemu spółdzielczego, zostały stworzone „Grupy wymiany pracy”. Powstawały one na skutek dobrowolnego łączenia się grupy 12 rolników, którzy swoją ziemię, ręce do pracy, zwierzęta i narzędzia pracy pozostawiały pod kierunkiem jednego z nich wybranego na przewodniczącego, oddawali do wspólnego użytku. Warunkiem powodzenia ruchu było zjednoczenie, które dawało siłę: zamiast aby każdy uprawiał swój mały kawałek ziemi własnymi rękami i narzędziami pracy, wszystkie te kawałki były uprawiane łącznie tworząc duże obszary, które mogły być przeznaczane do produkcji tego samego produktu. Była to pewnego rodzaju scalenie, ale dotyczące wyłącznie dziedziny eksploatacji, stan własności pozostawał niezmienny.

Podział pól był teraz przeprowadzany w zależności od położenia i jakości ziemi oraz od jej cech specyficznych. Uprawa poszczególnych artykułów była więc rozdzielana zgodnie z wymaganiami przez warunki a nie wyłącznie pod kątem widzenia posiadania. Ten sam system gospodarki dawał dużą oszczędność zwierząt i narzędzi: chociaż każdy chłop potrzebuje co najmniej 2 koni — naj-

mniejszego zaprzęgu — to nie zawsze potrzebne mu są one codziennie. Oddanie ich do użytku wspólnego pozwala na utrzymywanie mniejszej ilości zwierząt, a za to pełne wykorzystywanie ich możliwości.

Podział zbiorów odbywał się procentowo do powierzchni każdego kawałka ziemi i pracy włożonej przez poszczególnego rolnika. Wydajność takich gospodarstw wzrosła o około 30 proc.

Zasadniczo chłopom mogli zadowolić się tą samą ilością produktów osiąganą mniejszą pracą, ale po pierwsze Chińczyk jest pracowity a po drugie wydawało się rzeczą słuszną produkować więcej i użytkować możliwość zachowania części produktów na wypadek głodu. Zdecydowano więc pracować równie intensywnie i uprawiać coraz to nowe pola ziemi. Zaczęto karczować ugory. Tereny te stawały się następnie własnością grupy, która je wykarczowała. Począwszy od roku 1944 cel został bardzo szybko osiągnięty. Po dwóch latach pracy każdy miał na składzie rezerwę żywności równą rocznym zbiorom. Susza przestała być groźna.

W ten sposób odbywała się zmiana na struktury socjalnej wsi. W o-

cy rolni, wynajmujący swoją pracę za miarę codzienną ryżu. Obecnie w rejonach oswobodzonych nie tylko zostały zlagodzone surowe prawa na skutek obniżenia czynszu dzierżawnego i obniżenia stopy procentowej, ale równocześnie powstały dwa odrębne rodzaje wzajemnych stosunków i własności: z jednej strony eksploatacja kolektywna ziemi stanowiącej własność prywatną przez „Grupy wymiany pracy” a z drugiej wspólne eksploatacja przez te same grupy ziem nowo wykarczowanych stanowiących ich wspólną własność. Partycypując w tych dwóch nowych formach pracy znaczna ilość chłopów zapewniła sobie dochód wyższy niż ich bieżące potrzeby i w ten sposób zdobyła możliwość spłaty zaciągniętych uprzednio długów. Jednocześnie robotnicy rolni poczęli przystępować do „grup wymiany pracy”. Ponieważ nie posiadali oni żadnego kapitału, który mogłby wnieść na cele wspólnej eksploatacji ziemi, „Zrzeszenie Chłopskie” udzielało im pożyczek, płatnych dopiero po upływie kilku lat. Coraz to większa ilość ludzi miała możliwość dochodzenia do kawałka ziemi. Dla reformy rolnej otwierała się droga, której idea przewodziła brzmiała: równość pod względem własności, a wspólnota jeżeli chodzi o eksploatację.

W czasie ostatniego roku poprzedzającego drugą wojnę światową zmiana ta rzucała się już w oczy. Na terenach wyzwolonych nie widać już było żebraków uprawiających swój proceder na każdym rogu ulicy i wszystkich skrzyżowaniach dróg. Na polach nie widziało się już pojedynczych chłopów idących za plugiem, wszędzie widać było ekipy wiejskie pracujące ze śpiewem na ustach.

Cyfry dla przeciętnej wsi okolicy przyfrontowej były wymowne: w przeciągu pięciu lat uprawna powierzchnia ziemi wzrosła od 2.300 do 5.200 arów a produkcja artykułów żywnościowych podwoiła się.

REFORMA ROLNA

Metody, które omówiliśmy, a które stosowane były w czasie wojny miały na celu podniesienie poziomu produkcji i polepszenie sytuacji chłopów nie zmieniały one jednak niczego jeżeli chodzi o prawny kodeks ziemski. Tymczasem dla milionów ludzi, którzy w Chinach uprawiali ziemię kwestia jej własności była zagadnieniem życia i śmierci. Głód nawiedzający Krainę Niebios nie był wyłącznie

ś. † p.

STANISŁAW KĘTRZYŃSKI

członek Polskiej Akademii Umiejętności,
prof. zw. Uniwersytetu Warszawskiego,
b. więzień Pawiaka i Oświęcimia

zmarł w Warszawie, dn. 26 maja b. r., opatrzony Świętymi Sakramentami przeżywszy lat 74.

Pozostali w smutku
Zona, syn, synowa, wnuczka i rodzina



Mao Tse-tung oraz gen. Czu-Teh pozdrawiają manifestujących mieszkańców Pekinu.

skutkiem niedostatecznego poziomu produkcji wytworów żywnościowych, poważniejszym jego powodem było, iż zebrane przez chłopów zbiory nie wystarczały na wyżywienie tego kto je osiągnął. Przeciętny chłop zebrawszy plon swojej pracy musiał jego część oddać właścicielowi ziemi w charakterze czynszu dzierżawnego. Drugą część musiał zwrócić wierzycielowi, który pożyczyciel mu w zeszłym roku pieniędzy na kupno jakiegoś zwierzęcia, trzeba było oddać jakiś inny dług, wydać córkę za męża, pochować zgodnie z tradycją ojca. Chłop musiał oddać część swojej pracy, która lepiej byłaby zużytkowana przy pracy w polu — na reperację domu swego pana lub w związku z przygotowaniem do ślubu syna bogacza, albo też musiał chwycić za broń aby iść i walczyć z oddziałami sąsiedniego potentata. Poza tym musiał płacić podatek władzom miejskim, administracji „hsien”, zarządowi prowincji, rządowi cesarskiemu itd., tak że w końcu, połowa lub 1/3 wartości zbiorów wymykała się z jego rąk. To co mu pozostawało nie zawsze wystarczało na wyżywienie.

Powstania chłopskie zdarzały się w ciągu wieków dosyć często. Ale te wysiłki, źle zorganizowane i brutalnie duszone kończyły się zawsze niepowodzeniem. Aby móc zrealizować trzeci punkt programu Sun Yat-sena — dobre warunki życia dla ludu, trzeba było zmienić istniejący stan rzeczy. Rozumiał to dobrze Mao Tse-tung, a związki chłopskie tak energicznie czuwały nad tym, aby te ustalone opłaty zawsze w praktyce obowiązywały, że wielu spośród wielkich właścicieli ziemskich doszedłszy do wniosku, że posiadanie ziemi zupełnie im się nie opłaca sprzedawało swoje dobra i przenosiło się do miasta dla rozpoczęcia innej kariery. Dobra zdradców były konfiskowane. W ten sposób pierwsze na szerszą skalę zakrojone przejmowanie ziemi odbywało się w czasie trwania wojny.

Po zakończeniu działań wojennych w wielu wsiach zajętych uprzednio przez Japończyków ukonstytuowały się specjalne sądy których zadaniem było osądzenie kolaborantów. Sądy te rozstrzelając po trochu swoje kompetencje zabrały się z kolei do wielkich właścicieli ziemskich i panów feudalnych, którzy odznaczali się szczególnym wyzyskiwaniem swoich współrodaków i zmuszały ich do zwrotu pobranych „nadwyżek”.

Przeprowadzanie reformy rolnej zostało zostawione wsiom samym. Sprawozdania z rezultatów tej akcji przesyłane były do Yenan, gdzie porównywano skutecz-

ności różnych metod postępowania. Po upływie roku zgromadzone już dostateczną ilość danych: we wrześniu 1947 została zwołana specjalna Narodowa Konferencja dla spraw Rolnych, która ustanowiła nowe prawo. Dnia 10 października 1947 w 36 rocznicę Rewolucji 1911 roku, ustawa ta została dopełniona przez dyrektywy Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej skierowane do jego członków dnia 22 lutego 1948.

Realizowało się więc praktycznie zanikanie uprzywilejowanych, wyrównanie wielkich niesprawiedliwości społecznych i zanikanie lichwiarstwa.

Na ogół, kampania 1946 — 1947 roku nie była tyle zwykłą konfliktową dóbr, ale procesem bardziej złożonym „oddawania sprawiedliwości”. Nie starano się wcale o przekształcenie stosunków prawnych lub o wprowadzenie nowych podstaw posiadania ziemi, dążono raczej do osiągnięcia pewnego przeciętnego wyrównania osiąganego za pomocą aktów przejęcia na mocy których nieuczciwie nabyte dobra jednostek przechodziły na własność ich ofiar. System ten pozwolił na osiągnięcie drugiego, głoszonych celu, jakim było zniesienie feudalizmu.

A przecież zostało to dokonane w obrębie pewnych form prawnych, poprzez działający aparat sprawiedliwości, oczywiście, że sprawiedliwości ludowej, często surowej, ale która przynosiła zadowolenie większości.

Po upływie półtora roku, kiedy usunięto najjaskrawsze błędy i ustalono najlepsze metody postępowania, przywódcy komunistyczni doszli do wniosku, że nadszedł czas ujęcia reformy rolnej w ramy prawne. Należało unikać niesprawiedliwości, które mogłyby zniszczyć kapitał potrzebny dla celów przemysłu, należało unikać pośpiesznych wyroków, i utworzenia się kapitalizmu rolnego, który szybko stałby się tyrańskim, wreszcie zapobiec temu, aby na skutek samego procesu wyrównywania rachunków nie powstawały nowe akty niesprawiedliwości, i zunifikować system podziału oraz ustalić podłoże prawne posiadania ziemi.

Po dłuższej dyskusji Narodowa Konferencja Rolna przyjęła tekst, którego główne punkty podajemy poniżej:

Art. 1. Feudalny i pół-feudalny system rolny oparty na wyzysku zostaje zniesiony. Wprowadzony zostaje system, który brzmi: „ziemia dla tego kto ją uprawia”.

Art. 2. Dawne prawa posiadania ziemi przez wielkich bogaczy zostają zniesione.

Art. 3. Prawa posiadania ziemi, ołtarzy przodków przez klas-

tory, szkoły, instytucje i organizacje zostają zniesione.

Art. 4. Wszystkie długi zaciągnięte przez chłopów przed reformą systemu rolnego są anulowane.

Art. 5. Prawnym organem wykonawczym reformy systemu rolnego jest Zrzeszenie chłopów miejscowej wsi i komitet przez nie wybrany.

Art. 8. Związki chłopskie przejmą zwierzęta i trzodę panów, narzędzia rolne, domy i zapasy żywności oraz inne rzeczy należące do bogatych chłopów i rozdziela je pomiędzy chłopów, którym tych rzeczy brak. Taka sama ilość zostanie rozdzielona pomiędzy panów. Własność rozdzielona przechodzi na własność osobistą obdarowanego. W ten sposób mieszkańcy wsi jednocześnie otrzymują ziemię i narzędzia potrzebne do jej uprawy...

Prawo przewiduje, że lasy, kopalnie, warsztaty produkujące urządzenia hydrauliczne i zabytki historyczne przejdą na własność państwa. Następnie mówi ono, że rzemieślnicy w zależności od charakteru ich zawodu, będą otrzymywać mniejszy lub większy kawałek ziemi. Żołnierze armii nacjonalistycznej, którzy zechcą powrócić do swoich wsi, będą mieli przebaczone i otrzymają parcelę ziemi pod warunkiem, że będą ją uprawiali. Wreszcie ustanowione zostaną sądy ludowe, których zadaniem będzie czuwać nad wprowadzeniem reformy i karać przestępców.

Reforma wchodziła w życie wolniej lub szybciej. W pewnych dzielnicach kraju wyrównanie rachunków, przeprowadzone przed wydaniem prawa doprowadziło już do mniej więcej równego rozdziału ziemi. W innych proces ten przebiegał dużo wolniej, czy to z winy niedostatecznej aktywności ze strony związków chłopskich czy też na skutek przebiegłości wykazywanej przez panów i wielkich właścicieli. W jeszcze innych, dopiero co uwolnionych, ludność nie miała jeszcze żadnego doświadczenia politycznego, żadne związki chłopskie jeszcze nie istniały i chłopci trwali ciągle pod terrorem swojego pana.

Dyrektywy partii komunistycznej w tej dziedzinie zostały ogłoszone dnia 22 lutego, 1948. Miały one na celu połączenie różnorodnych okręgów i doprowadzenie wszędzie do jaknajszybszego ujednolicenia systemu.

Uwagę zwrócili również nierówności rozdziału, które wynikały z różnej wartości gleby, oraz nierównomiernego oddalenia wsi od miast. Czynniki rozdziałające ziemię poczęły brać pod uwagę nie tylko ilość ale i jakość i położenie ziemi. Dostały one również polecenie aby nie dzielić mechanicznie całości rozporządzałnej powierzonej ziemi przez ilość potrzebujących „rodzin”, ale brać zawsze pod uwagę stan liczebny danej rodziny.

Zdarzało się, że w różnych okolicach tworzyła się nowa biurokracja, która usiłowała przydzielić sobie najlepsze i najważniejsze kawałki ziemi. Natychmiast przeprowadzono przeciwko tym nieuczciwym ludziom energiczną kampanię.

Instrukcje Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej podkreślają, że cały ten proces przebudowy gospodarki rolnej kraju jest bardzo istotny i nie może być przeprowadzony lekkomyślnie, toteż instrukcje przewidują, że reforma rolna w dzielnicach ostatnio uwolnionych będzie przeprowadzona za 2 lub 3 lata. Komitet podkreśla wyraźnie, że nie wolno przeprowadzać jej siłą. Należy czekać aż idea sama rozwinię się dostatecznie w

umysłach chłopskich i kiedy oni sami, wprowadzą ją w życie. Partia na terenach uwolnionych, realizowała reformę tylko w pewnych wsiach przy pomocy grup robotniczych. Grupy te przenosiły się ze wsi do wsi i dopomagały niedoświadczonym jeszcze związkom.

Dziś jeszcze jest za wcześnie aby wydawać sąd o chińskiej reformie rolnej. Trzeba przyjąć do wiadomości, że w pewnych dzielnicach kraju jest już ona zupełnie zakończona, dobra feudalne już nie istnieją, a ziemia jest w całości rozdzielona ku ogólnemu zadowoleniu wszystkich. W innych dzielnicach operacja ta jeszcze trwa. W miarę postępu Ludowej Armii Wyższej otwierają się nowe możliwości ekspansji reformy. Toteż o całości jej będzie można wydywać sądy dopiero, kiedy wojna w Chinach zostanie zakończona i kiedy będzie ona mogła objąć cały kraj. Rozprzestrzenianie się reformy nie budzi zresztą żadnych wątpliwości, chłopci chińscy mają o niej zupełnie ustalone zdanie: wszyscy jej pragną. Największymi wrogami Kuomintangu byli chłopci z prowincji Shantung, którzy korzystając przez krótki czas z dobiegających reform ludowych zostali z powrotem oddani w ręce amerykańskie pod rządem nacjonalistycznym. Patrzyli oni na utratę wszystkich swoich zdobyczy politycznych i ekonomicznych, na wielkich panów którzy znowu żądali od nich pieniędzy za czynsz dzierżawny.

Wagę tego zagadnienia rozumiały wszystkie partie liberalne centrum, które wyraziły swoje poparcie dla programu Mao Tse-tunga szczególnie w dziedzinie polityki rolnej.

A przecież system ten jest tylko okresem przejściowym. Możliwa jest dalsza ewolucja. Jest prawdopodobne, że ludzie obdarowani lepszą ziemią zaczęliby dysponować pewną nadwyżką. Utworzyliby oni znowu klasę bogatych chłopów, która skupowałaby powoli ziemię od chłopów biedniejszych, pożyczalaby im pieniądze, i wprowadziła znowu podział na wyzyskiwacza i wyzyskiwanego.

Wówczas dalsza niezbędna ewolucja oznaczałaby wzrost znaczenia związków chłopskich, spółdzielni rolnych, i „brygad wymiany pracy” i prowadziłyby do uprawy ziemi zgodnie z zasadami coraz to większej kolektywizacji. Umożliwiłoby to wprowadzenie wielkich jednostek rolnych, silnie zmechanizowanych, które zarzucając uprawę indywidualną a nawet i uprawę wspólną ale ręczną i oddzielną każdej parceli przeszłyby na uprawę mechaniczną na wielkich obszarach. Ziemia wtedy stałaby się wspólną własnością wszystkich mieszkańców będących członkami grupy wytwarzającej lub też byłaby własnością państwa. Utworzenie takich kolektywów — zależne jest z jednej strony od rozwoju przemysłu, który musiałby dostarczyć potrzebnych narzędzi mechanicznych a z drugiej strony od wychowania chłopów w kierunku tworzenia kadr rolnych tak aby najpierw zaczęli tego pragnąć a potem mogli uprawiać ziemię zgodnie z metodami innymi niż te które stosowali ich rodzice, dziadkowie i przodkowie setnej generacji.

POLITYKA PRZEMYSŁOWA

W raporcie złożonym dnia 25 grudnia 1947 Centralnemu Komitetowi Partii Komunistycznej Mao Tse-tung objaśniając ekonomiczny program rządu podkreśla, że zamierza on przeprowadzić reformy dotyczące przemysłu, handlu i samego systemu pracy.

Ostateczny cel rządu jest podwójny: stworzyć z Chin państwo socjalistyczne i przekształcić kraj rolniczy w kraj przemysłowy. Jednakże dokładne przestudiowanie sytuacji ekonomicznej kraju wykazuje, że środki produkcji kraju są niedostatecznie rozwinięte, a przemysł w stanie początkowego rozwoju. Jeżeli chodzi o najbliższą przyszłość stawia się następujące zadanie.

1. Gospodarka państwowa obejmie dziedziny zasadnicze, takie jak ciężki przemysł, źródła energii, banki, środki transportu itd.

2. Gospodarka wiejska, będzie się rozwijała nadal przechodząc stopniowo od form gospodarki indywidualnej do systemu kolektywizacji.

3. Gospodarka przemysłowa i handlowa oparta będzie na przedsiębiorstwach małych i średnich i wspomagana małym i średnim kapitałem.

Jest to zasadniczo gospodarka przejściowa pomiędzy systemem ekonomii feudalnej lub półfeudalnej a systemem ekonomii socjalistycznej.

Od chwili swego powstania, gospodarka nowych Chin różni się zasadniczo od gospodarki Chin nacjonalistycznych. W Chinach z okresu Kuomintangu wielkie przedsiębiorstwa bankowe tekstylne, transportowe i energii elektrycznej znajdowały się w rękach czterech kierujących nimi rodzin: Czang, Soong, Kung i Chen. Zarządzali oni nimi tylko pod kątem widzenia swojego osobistego interesu.

Mao Tse-tung napisał na ten temat:

„Trzy wielkie cele ekonomii nowej rewolucji demokratycznej brzmią: odebrać ziemię klasie feudalnej i oddać ją na własność chłopu, skonfiskować kapitały monopolistyczne uwiecznione przez Czang Kai-szeka, T. V. Soonga, H. H. Kunga i Chen Li-fu i oddać je do rąk nowego państwa demokratycznego, i popierać przemysł i handel narodowy...”

„Wymienione cztery rodziny — Czang, Soong, Kung i Chen — w czasie swojego 20 letniego panowania zebrały olbrzymi kapitał 10 — 20 milionów dolarów amerykańskich i zmonopolizowały w swoim ręku cały rozwój ekonomiczny kraju.

„Ten kapitał monopolowy połączony z władzą państwa stał się kapitałem monopolizującym państwo. Kapitał taki nieuchronnie łączy się z imperializmem obcym. Jeżeli połączy się jeszcze z klasą feudalną, i bogatymi chłopami danego ustroju otrzymamy monopolistyczny kapitalizm państwa feudalno-compradorskiego. Reprezentuje on działalność ekonomiczną reakcyjnego ustroju Czang Kai-szeka. Ten kapitalizm o charakterze monopolistycznym uciska nie tylko robotników i chłopów ale i drobnomieszczaństwo a szkodzi nawet mieszczaństwu średniemu.”

Owe przymierze biurokracji z pieniądzem tak charakterystyczne dla Kuomintangu, nazwano w Chinach kapitalizmem biurokratycznym, i burżuazją biurokratyczną.

Każdy kto miał pieniądze stał się urzędnikiem Kuomintangu by móc ich bronić, każdy zaś członek Kuomintangu stawał się urzędnikiem by pieniądze zdobyć. Ten związek władzy i pieniądza dawał w skutkach siłę której działalność szkodliwa była zarówno dla tych którzy nie byli bogaci jak i dla tych którzy nie byli członkami Kuomintangu.

(dokończenie na str. 8-ej)

W pół godziny później stanęli na małej polance przed szałasem, zbudowanym z gałęzi i gliny przez jakiegoś ubogiego chłopca; chłopca musiał wyprzeć las, którego krąg zaciskał się coraz mocniej; nie mógł go zwyciężyć swoją machetą i ogniem. Zczerniała ziemia nosiła jeszcze ślady wysiłków, dokonywanych by ją oczyścić z krzaków i małych drzew i wydobyc nędzny plon, nie odpowiadający włożonej pracy.

— Zajmę się mulem — powiedział metys, — Ty wejdź, połóż się i wypocznij.

— Ależ to ty jesteś zmęczony.

— Ja zmęczony? Co ty też mówisz? Nigdy nie jestem zmęczony.

Z ciężkim sercem ksiądz odwiązał torbę od siodła, popchnął drzwi i wszedł w ciemność. Potarł zapałkę, — nie było tu żadnych mebli; tylko legowisko z ubitej ziemi, pokryte słomianą matą, ale tak podarta, że nikogo nie mogła skusić. Zapalił świecę, przylepił ją do legowiska, potem usiadł i czekał. Metysa długo nie było. W zaciśniętej dłoni ksiądz ścisnął jeszcze zgniecione w kulkę papiery, które uratował z walizki. Człowiek musi zachować jakieś sentymentalne pamiątki, jeśli ma w ogóle żyć. Argument niebezpieczeństwa stosuje się tylko do tych, którzy żyją w bezpieczeństwie. Za stanawiał się, czy metys ukradł muła, i wyrzucał sobie tę narzucającą się podejrliwość. Później drzwi otworzyły się i człowiek — ze swymi dwoma złotymi kłami, wszedł drapiąc się pod pachami. Usiadł na ziemi, oparł się plecami o drzwi i powiedział:

— Śpij. Jesteś zmęczony. Obudzę cię, kiedy trzeba będzie iść.

— Nie jestem bardzo śpiący.

— Zgasz świecę. Będzie ci się lepiej spało.

— Nie lubię ciemności — powiedział ksiądz. Bał się.

— Czy ksiądz zmówi modlitwy przed zaśnięciem?

— Dlaczego mnie tak nazywasz? — zapytał ostro, wpatrując się poprzez mrok w miejsce, na którym metys siedział oparty o drzwi.

— O, bo zgadłem. Ale mnie nie potrzebujesz się bać. Jestem do brym chrześcijaninem.

— Mylisz się.

— Byłoby mi łatwo przekonać się o tym, prawda? — powiedział metys — Powiedziałbym ci tylko: proszę księdza, chcę się wyspowiadać. Nie mógłbyś odmówić człowiekowi, mającemu grzech śmiertelny na sumieniu.

Ksiądz nie odpowiedział, czekając, kiedy padnie żądanie; ręka, w której trzymał papiery, drżała nerwowo.

— O, nie potrzebujesz się mnie bać — ciągnął metys, odważając słowa, — nie zdradzę cię. Jestem chrześcijaninem. Myślałem tylko, że modlitwa... przydałaby się nam.

— Nie trzeba być księdzem, że by umieć modlitwy.

Zaczął: „Pater noster, qui es in coelis...” Komary brzęcząc leciały w kierunku płomienia świecy. Był zdecydowany nie spać, metys coś knuł, nawet sumienie przestało mu wyrzucać brak miłosierdzia. Wiedział. Znajdował się w obecności Judasza.

Oparł głowę o ścianę, przyklnął oczy; przypomniał mu się Wielki Tydzień, w dawnych czasach, kiedy to na dzwonnicy wisiał wypchany Judasz, zaś chłopcy hałasowali wokół niego tłukąc w grzechotki i w blaszane puszkę. Starzy stateczni parafianie sprzeciwiali się temu czasami; mówili, że to bluźnierstwo robić taką kukłę ze zdrajcy Pana Jezusa. Ale on pozwalał, aby ten zwyczaj trwał. Wydało mu się dobrą rzeczą, że zdrajca świata był przed-

Graham Greene

Spotkanie

(Fragment powieści)

miotem drwin. W przeciwnym razie zbyt łatwo byłoby wyidealizować go na człowieka, który walczył z Bogiem — na jakiegoś Prometeusza, szlachetną ofiarę beznadziejnej walki.

— Czy śpisz? — doleciał go szept od drzwi.

Ksiądz nagle zachichotał — jak by ten człowiek był także zabawnym manekinem o nogach wypchniętych słomą, wymalowanej twarzy, w starym kapeluszu na głowie, manekinem, który będzie później spalony na plaza, podczas gdy ludzie będą wygłaszać mowy polityczne wśród trzasku sztucznych ogni.

— Nie możesz spać?

— Śniło mi się coś — szepnął ksiądz.

Otworzył oczy i zobaczył, że człowiek przy drzwiach trzęsie się. Jego dwa ostre zęby podskakiwały na dolnej wardze to do góry, to na dół.

— Jesteś chory?

— Mam trochę gorączki — odpowiedział, — Czy masz jakie lekarstwo?

— Nie.

Drzwi skrzypnęły od drżenia pleców metysa.

— Zamoczyłem się w rzecę... — powiedział.

Osunął się na klepisko i zamknął oczy... Komary z opalonymi skrzydłami pełzały po ziemnym legowisku.

— Nie wolno mi zasnąć, Muszę go obserwować, — myślał ksiądz, to byłoby niebezpieczne.

Otworzył dłoń i wyglądził pomięty papier. Widać było na nim nikiel pociągnięcia ołówka; pojedyncze słowa, początki i końce zdań, cyfry. Teraz, kiedy już nie miał walizki, to było jedyne świadectwo, że kiedyś istniało inne życie; nosił ten papier przy sobie jak amulet, bo jeśli życie było kiedyś takie, mogło się znowu stać takim. W upalnym powietrzu tej błotnistej nizin, płomień świecy przechodził w drgającą smugę dymu... Ksiądz zbliżył papier do światła i przeczytał słowa: Bractwo Ołtarza, Bractwo Najświętsze go Sakramentu, Dzieci Maryi; po chwili podniósł głowę i spojrzawszy w drugi kąt ciemnego szalasu, zobaczył żółte i rozpalone gorączką oczy śledzącego metysa, Chrystus nie zaskoczyłby Judasza śpiącego w Ogrójcu! Judasz potrafił czuć dłużej niż godzinę.

— Co to za papier... proszę księdza? — zapytał kusząco, opierając wciąż o drzwi drzące plecy.

— Nie nazywaj mnie księdzem. To jest lista nasion, które mam kupić w Carmen.

— Umiesz pisać?

— Umiem czytać.

Znowu spojrzął na papier, popatrzył i lekko bezbożny żarcik rzucił mu się w oczy... wyblakły mi ołówkowymi literami coś o „jedyniej substancji”. Zrobił wówczas aluzję do swej otyłości i do dobrego obiadu, który spożył; parafianie nie doceniali jego humoru.

Obiad ten był wydany w Concepcion dla uczczenia dziesięciolecia jego kapłaństwa. Siedział wówczas na honorowym miejscu obok — kto to siedział po jego prawej stronie? Obiad składał się z dwunastu dań; powiedział coś o dwunastu apostołach, co uznano za żart w nienajlepszym tonie. Był wtedy zupełnie młody i podkusiło go, żeby to powiedzieć tym pobożnym, dojrzałym i czci-

godnym ludziom z Concepcion, no szącym wstążki i oznaki swoich bractw. Wypił odrobinę za dużo: wtedy nie był jeszcze przyzwyczajony do alkoholu. Nagle przypomniał sobie, kto był jego sąsiadem z prawej strony: Montez, ojciec człowieka, który został rozstrzelany.

Montez mówił dosyć długo. Złożył sprawozdanie z działalności Bractwa Ołtarza za rok ubiegły — mieli nadwyżkę dochodów: dwadzieścia dwa pesos. Zapisał to sobie do wyjaśnienia: Br. Ołt. 22. Montez bardzo chciał zorganizować Stowarzyszenie św. Wincenciego a Paulo, a jakaś kobieta skarżyła się, że w Concepcion sprzedawane są złe książki, sprowadzane ze stolicy na grzbiecie muła, i dziecku jej wpadła w ręce jedna z nich zatytułowana: „Mąż na jedną noc”. Ksiądz obiecał w swym przemówieniu, że napisze w tej sprawie do gubernatora.

W chwili, gdy wypowiadał te słowa, miejscowy fotograf zapalił magnezję; ksiądz pamiętał swój wygląd w tym momencie, jakby był kimś obcym, kto spogląda z zewnątrz na jakieś radosne, świąteczne i dziwne wydarzenie i dostrzega z zazdrością i może z lekką kpina dosyć młodego, tłustego księdza, stojącego z pulchną ręką, wyciągniętą władczym gestem, podczas gdy jego język delektował się słowem „gubernator”. Wo koło usta były otwarte niby pyszczki ryb, a twarze, z których starto zmarszczki i wszystkie cechy indywidualności lśniły białocłą magnezją.

Ten moment władzy przywrócił mu nową — opanował się, wszyscy poczuli się lepiej.

— Ta nadwyżka 22 pesos w bilansie Bractwa Ołtarza — chociaż jest to dla Concepcion prawdziwa rewolucja — nie jest wszystkim, czym możemy się pochwalić w działalności roku ubiegłego. Liczba Dzieci Maryi wzrosła o 9 nowych członków, a Bractwo Najświętszego Sakramentu przyczyniło się zeszłej jesieni do tego, że nasze doroczne rekolekcje miały niezwykle powodzenie. Lecz nie wolno nam spocząć na laurach. Mam projekty, które, przyznając, mogą się wam wydać zbyt śmiałe. Wiem, że uważaliście mnie za człowieka nadmiernie ambitnego... ale chcę, aby Concepcion miało piękniejszą szkołę, a tym samym i piękniejsze probostwo. Jesteśmy dużą parafią, i tutaj proboszcz musi dbać o swą pozycję. Nie myślę o sobie, myślę o Kościele. Ale to jeszcze nie wszystko, choć obawiam się, że będzie nam potrzebna wielu lat, aby zdobyć niezbędne pieniądze, nawet w tak dużej miejscowości, jak Concepcion.

Gdy tak mówił widział przed sobą życie spokojne, pogodne... Tak, był ambitny. Nie widział przyczyny, dla której nie miałyby się pewnego dnia znaleźć w stolicy stanu, w kole kanoników katedralnych, pozostawiając innemu księdzu spłacenie długów w Concepcion. Energicznego księdza poznaje się zawsze po długach. Ciągnął dalej, machając dłonią pulchną i pełną ekspresji:

— To prawda, że wielkie niebezpieczeństwa grożą w Meksyku naszemu drogiemu Kościołowi. W naszym stanie jesteśmy uprzywilejowani. Na Północy ludzie traciли życie i musimy być przygotowani — popić winą, by odświeżyć

wyschłe usta — na najgorsze. Czujcie się i módlcie się. Diabeł jako lew ryczący... — ciągnął niejasno — czujcie się i módlcie się.

Dzieci Maryi wpatrywały się w niego z rozchylonymi ustami, błękitne wstążki ukośnie przecinały ich najlepsze ciemne bluzki.

Mówił długo, lubując się dźwiękiem własnego głosu; zniechęcił Monteza do propagowania Stowarzyszenia św. Wincenciego a Paulo — trzeba czuć, żeby świecy nie mieli zbyt wiele inicjatyw — i opowiedział przesłanną historię o umierającym dziecku. Dziewczynka, mająca bardzo silną wiarę, umierała na gruźlicę w wieku lat jedenstu. Zapytała, kto stoi w nogach Józka. Odpowiedziano jej: „To ksiądz taki to a taki” — A ona powiedziała: — Nie, nie, znam księdza takiego to a takiego. Mówię o tym, który ma złotą koronę na głowie”. Jeden z członków Bractwa Najświętszego Sakramentu rozplakał się. Wszyscy byli bardzo zadowoleni. Była to w dodatku prawdziwa historia, choć nie pamiętał gdzie ją słyszał. Może ją gdzieś przeczytał? Ktoś mu znowu napelniał kieliszek. Odetchnął głębooko i powiedział: „moje dzieci...”

— Jeszcze nie śpisz? — zapytał metys, otwierając oczy.

— Sam śpij, — powiedział ksiądz, ocierając rękawem pot z twarzy.

— Tak mi zimno.

— To tylko gorączka. Może chcesz moją koszulę? To nie wiele, ale może będzie ci lepiej.

— Nie, nie chce nic od ciebie; nie ufasz mi.

Nie. Gdyby był pokorny, jak padre Jose, mógłby mieszkać teraz w stolicy z Marią, i brać pensję. To jest pycha, diabelska pycha, że leży tutaj i ofiarowuje koszulę człowiekowi, który chce go wydać. Nawet próby ucieczki podejmował bez przekonania z powodu tej pychy, grzechu, który przyczynił się do upadku aniołów. Odkąd był jedynym księdzem w tym stanie, jego pycha jeszcze wzrosła. Uważał się za diabła odważnego człowieka, ponieważ przez nosił Pana Boga z narażeniem życia. Kiedyś otrzyma nagrodę... W mroku zaczął się modlić:

— Boże przebac mi. Jestem człowiekiem pysznym, zmysłowym i łakomym. Znadto kocha-

łem władzę. To ci ludzie są męczennikami: narażają życie, aby mnie ocalić. Zasługują na to, żeby czuwał nad nimi męczennik, a nie taki głupiec jak ja, kochający wszystko co zabronione. Może lepiej, żebym przeszedł granicę... jeśli opowiem ludziom, co się tu dzieje, może przysła tu człowieka dobrego, pałającego miłością...

Jak zwykle jego rachunek sumienia sprowadzał się do zagadnienia praktycznego: co powinien zrobić?

Po drugiej stronie, pod drzwiami metys spał niespokojnym snem.

Jakże nie wiele było tego, czym mogła się karmić jego pycha: odprawił tego roku zaledwie cztery msze i wysłuchał może stu spowiedzi. Pomyślał, że najlepszy kleryk w seminarium mógłby zrobić to samo... albo lepiej. Podniósł się bardzo ostrożnie i na palcach bosych stóp przeszedł szalasa. Musi dostać się do Carmen i szybko uciec, zanim ten człowiek... W jego otwartych ustach widać było blade, bezzębne i stwardniałe dziąsła; rzucał się i stękał przez sen, potem opadł na podłogę i leżał bez ruchu.

...Przestąpił ciałą jedną nogą i ręka chwyciła go za kostkę. Metys gapił się na niego.

— Gdzie idziesz?

— Za potrzebą — powiedział ksiądz.

Ręka trzymała go wciąż za kostkę.

— Możesz się tutaj załatwić — jęknął człowiek. — Cóż to ojcu duchownemu przeszkadza, bo ojciec jest ojcem, prawda?

— Mam dziecko, jeśli ci o to chodzi...

— Wiesz dobrze, o co mi chodzi. Rozumiesz się na sprawach Boga, prawda? — Czuł dotknięcie płonącej dłoni. — Może masz Go tam — w kieszeni. Nosisz Go przy sobie, prawda, na wypadek, gdybyś spotkał kogoś chorego. No, a ja jestem chory. Dlaczego mi Go nie dajesz? Myślisz, że nie chciałby się ze mną zadawać?

— Masz gorączkę.

Ale tamten nie zamilkł. Ksiądz przypomniał sobie, jak widział pewnego dnia źródła nafty, wywiercone widocznie przez jakichś przedsiębiorców w pobliżu Concepcion; złoża nie były dostatecznie bogate i nie zasługiwały na dalsze wiercenie, lecz przez 48 godzin czarny strumień, tryskający z jałowej i błotnistej ziemi bił w niebo, płynąc bezużytecznie w ilość 200 tys. litrów na godzinę. Tak samo było z uczuciem religijnym człowieka: wybuchało w górę czarnym słupem dymu i nieczystości i ginęło bezużytecznie.

(dokończenie na str. 12-ej)

Kazimierz Piekut

Nabożeństwo majowe

Dziewczynki Ci przyniosły wiejskiego słońca uśmiech w długich warkoczach i melodię podsluchanej wieczorem w sadzie słowiczej piosenki, a niezapominajki przyniosły w swoich oczach — bo kochasz błękit.

Chłopcy, co mają oczy radośnie niesforne, a którym słońce nie dało blasków do kudłatych czupryn — przyszli powierzyć Tobie tajemnice gniazd sikorek w jaśminie i szpaków w wierzbowej dziupli.

Ja też przyniosłem swoje dary dziwne — nie stać mnie na nic więcej — to lichy wieniec, co mi splotło życie z trosk i udręczeń.

ARABSKA EWANGELIA

Z apokryfów starochrześcijańskich

ARABSKA Ewangelia Dzieciństwa należy do rzędu pism apokryficznych. Pisma te, nie będąc natchnione znajdują się poza Kanonem Pisma Św. Apokryfy biblijne są to opowiadania pełne fantazji, w których występują obok elementów prawdziwych fakty i rzeczy zmyślone, dlatego Kościół odrzuca je i nie przypisuje im historycznego znaczenia.

Mamy apokryfy dotyczące Starego i Nowego Testamentu. Apokryfy N. Testamentu dzielimy według rodzajów literackich na apokryficzne ewangelie, akta, listy i apokalipsy.

Ewangelie apokryficzne można podzielić na trzy grupy, dotyczące: 1) rodziny Jezusa, 2) dzieciństwa Jezusa i 3) dziejów Piłata.

O rodzinie Jezusa opowiada Protoewangelia Jakuba, przedstawiając rodziców N. M. P., Jej narodziny, poczęcie i narodzenie Jezusa. Oblubieniec Panny Marii, Józef, jest tematem Historii Józefa Cieśli. Dzieciństwo zaś Pana Jezusa i liczne cuda Jego dokonywane podczas wędrówki z Marią i Józefem do Egiptu są przedstawione w Arabskiej Ewangelii Dzieciństwa.

Ewangelii tej nadano nazwę „Arabskiej Ewangelii Dzieciństwa“, ponieważ znano ją przez długi czas tylko w tekście arabskim, jednak język i inne właściwości wskazują, że jest ona przekładem z oryginału syryjskiego. Apokryf ten daje bogaty obraz dzieciństwa Jezusa, które zostało w ewangelii kanonicznych pominięte. Opisuje on narodziny Jezusa według Protoewangelii Jakuba, aż do ucieczki do Egiptu, potem daje serię opisów odnoszących się do pobytu Świętej Rodziny w Egipcie, pełnych niezwykłych cudów Jezusa. Ostatnie rozdziały są częściowo paralelne do apokryficznej ewangelii Tomasa.

Istnieją dwie hipotezy co do epoki, w której miało powstać to opowiadanie. Według dawniejszej hipotezy jest to ewangelia młodsza niż ewangelia Pseudo-Tomasza, na której się wzorowała.

Według jednak nowszej hipotezy, przedstawionej przez P. Peetersa, który zbadał redakcję ormiańską tego apokrytu, analogiczną w ogólnych rysach z arabską, wszystkie historie dzieciństwa, z wyjątkiem opowiadań dotyczących Panny Marii, których źródłem jest Protoewangelia Jakuba, są zaczerpnięte z tej samej księgi, gdzie się spotkały opowiadania różnego pochodzenia, starożytne opowieści (legendy buddyjskie nie są także wykluczone) i nowe fikcje.

Księga ta przedstawiała epizody z wczesnego dzieciństwa Jezusa. Od niej też poprzednio, być może w V wieku, pochodziły redakcje syryjskie, greckie, lacińskie, ormiańskie i słowiańskie Pseudo-Tomasza. Utwór ten został połączony z Protoewangelią Jakuba, tworząc w ten sposób ciągłą historię dzieciństwa Jezusa. Ta ostatnia kompilacja wpadła w ręce jakiegoś syryjskiego pisarza, który rozwinął ją w długie, sensacyjne opowiadanie. W Armenii znane ono było około VI wieku.

W tym samym czasie inny pisarz syryjski rozpoczął w podobny sposób historię dzieciństwa i włączył w nią serię cudów Matki Boskiej. Z tekstu syryjskiego pochodzi tekst Arabskiej Ewangelii Dzieciństwa. W ten sposób ta kompilacja, choć późno ukształtowana, zawiera ustępy, pochodzące ze źródła pierwotnego i wcześniejsze od ewangelii Pseudo-Tomasza, która jest wyraźnie tekstem pochodnym.

Ojczyzną powstania Arabskiej Ewangelii Dzieciństwa jest według A. Meyer'a Egipt. Wskazują na to także wątki opowieści egipskich, które spotykamy także w Arabskiej Ewangelii Dzieciństwa, jak np. o drzewie morwowym w mieście Matriacie, przy którym Jezus wywiódł źródło, o ogrodzie pełnym krzaków balsamowych, z których najstarsze powstało z potu Jezusa. Motywy uzdrowień osób nieuleczalnie chorych, dotykających pieluszek Jezusa lub obmywających się w wodzie, w której Go kąpano, spotyka

się często w opowiadaniach egipskich. Tak samo egipskie wierzenia ludowe o upiorach i demonie w postaci wściekłego psa lub młodzieńca znajdują odzwierciedlenie w licznych wątkach Ewangelii Dzieciństwa.

Opowiadania zawarte w Ewangelii Dzieciństwa wywarły duży wpływ na literaturę mużulmańską, a zwłaszcza na Koran. Prorok Mahomet, mając bliski kontakt z chrześcijanami, poznał za ich pośrednictwem apokryficzne legendy i opowiadania o narodzinach i dziecięctwie Jezusa i Marii. Dając wiarę tym fantastycznym opowiadaniom włączył je w wielu fragmentach do Koranu.

Przekładu Ewangelii Dzieciństwa z języka arabskiego dokonałam na podstawie tekstu H. Sike z roku 1697 i J. Thilo z roku 1832.

N. R.

W IMIĘ OJCA I SYNA I DUCHA ŚWIĘTEGO, BOGA JEDYNEGO.

Zaczynamy przy pomocy Boga i Jego dobroci sprzyjającej i piszemy księgę cudów Pana, Władcy i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, zwaną Ewangelią Dzieciństwa, w pokoju Pana, Amen.

W roku trzysta dziewiątym ery Aleksandra rozkazał August spisać

dobną do córki Ewy“. Odrzekła Panna Maria: „Jak do mojego Syna nie ma podobnego między chłopcami, tak i wśród niewiast nie ma podobnej do Matki“. Odpowiedziała starszuszka, mówiąc: „O moja Pani, przyszłam, by uzyskać nagrodę, trwającą wiecznie“. Rzekła do niej Pani nasza, Maria Matka: „Połóż ręce swe na Dziecko“. Położyła je i natychmiast została oczyszczona. Wysła, mówiąc: „Odtąd będę służebnicą tego Dziecka przez wszystkie dni mego życia“.

Gdy przybyli pasterze, zapalili ogień i radowali się niezmiernie. Ukazały się im zastępy niebieskie, chwalcące i sławiące Boga Wzniesłego, pasterze wielbili Go także, a grota była podobna w tym czasie do Boskiej Świątyni, ponieważ usta niebiańskie i ziemskie sławiły i wywyższały narodziny Chrystusa Panna. Gdy starszuszka Hebrajka ujrzała te cuda objawione składała dziękczynienie Bogu, mówiąc: „Dziękuję Ci, o Boże, Boże Izraela, za to, co oglądały oczy moje z narodzin Zbawiciela świata“.

Gdy nadszedł dzień obrzezania, a był to dzień ósmy, w którym nazywało prawo obrzezanie chłopca,

jak prorokował Zaratustra, niosąc z sobą dary ze złota, kadzidła i mirry. Składając pokłony Bogu, ofiarowali Mu swe dary. Wtedy wzięła Panna Maria jedną z tych pieluszek i ofiarowała im ku błogosławieństwu. Przyjęli ją od Niej jak najpiękniejszy dar. W tejże godzinie ukazał się anioł podobny do gwiazdy, która przedtem była ich drogowskazem i poszli prowadzeni przez światło, aż przybyli do swego kraju.

Zebrałi się wokół nich ich królowie i książęta i pytali ich: „Co widzieliście, co czyniliście, jak poszliście i jak powróciliście, kto wam towarzyszył w drodze?“. Pokazali im tę pieluszkę, którą ofiarowała im Panna Maria, urządzili więc z tego powodu święto, zapalili ogień według swego zwyczaju, kłaniali mu się i ułożyli do niego tę pieluszkę. Objął ją ogień i powoli wchłonął w siebie.

Kiedy zaś ogień przestał się żarzyć, wyciągnęli tę pieluszkę taką, jaką była przedtem, nie tkniętą przez ogień. Poczuli ją całowac i kłasić na swe głowy i oczy, mówiąc: „Zaiste to prawda bez wątpienia, zaiste to rzecz wielka, że nie mógł ogień spalić jej i zniszczyć“. Wzięli ją i przechowywali u siebie ze czcią wielką.

Gdy zaś Herod zobaczył, że odeszli i nie wracają do niego, przywołał kapłanów i mędrców i rzekł do nich: „Pouczcie mnie, gdzie się urodził Mesjasz“. Odpowiedzieli mu, że w Betlejem żydowskim, a On zaczął już wtedy rozmyślać o zabiciu Pana Jezusa. Wówczas zjawił się Józefowi we śnie anioł Pański, mówiąc mu: „Powstań i wzięwszy chłopca i Matkę Jego, idź do ziemi egipskiej“. Powstał przeto skoro zapał kur i poszedł w drogę.

Gdy tak rozmyślał on w duchu o drodze, która go czeka, nastał świt. Rankiem Józef znalazł się w pobliżu wielkiego miasta, gdzie był posąg bóstwa, któremu inne posągi bóstwa Egiptu składały ofiary i podarunki. Posąg ten miał kapłana pełniącego przy nim służbę. Ilekroć szatan przemawiał z tego posągu, słowa te podawał kapłan mieszkańcom Egiptu i jego okolic. Miał ten kapłan syna trzyletniego, opętanego przez wielu szatanów, mówiły one i czyniły różne rzeczy. Gdy nawiedzali go szatani, palił swe ubranie pozostając nagi i obrzucał ludzi kamieniami. W pobliżu zaś posągu był szpital w tym mieście. Gdy przybyła Panna Maria i Józef do tego miasta i zaszli do tego szpitala, mieszkańcy zatrwożyli się bardzo. Zebrałi się dowódcy i kapłani wokół tego posągu, mówiąc do niego: „Cóż za wzburzenie i panika szerzy się w naszym kraju?“. Odpowiedział im posąg mówiąc: „Oto zjawił się tutaj Bóg tajemniczy, jest on Bogiem naprawdę i nie ma boga, który by komu innemu niż Jemu służył. On jest synem Boga zaprawdę. Na wieść o nim poruszyła się ta ziemia, a przy jego przyjsciu zadrżała i zatrząsa się, a my lekamy się bardzo wielkością jego zwierchnictwa“. W tejże godzinie runął ten posąg, a przy jego upadku zebrałi się wszyscy mieszkańcy Egiptu i inni ludzie.

Spełniło się proroctwo głoszące: „Z Egiptu zawołam Syna mego“. Gdy usłyszał Józef i Maria, że posąg runął, opanowała ich obawa i strach i powiedzieli: „Gdy byliśmy w ziemi Izraela, Herod chciał zabić Jezusa i w tym pośpiechu zabił wszystkie dzieci w Betlejem i jego okolicach. Nie ma wątpliwości, że skoro Egipcjanie usłyszą, co się stało z posągiem, spalą nas w ogniu.

Wyruszyli stamtąd i przybyli do miejscowości, gdzie przebywali zbójcy. Napadali oni wszystkich, łupili i wiązali. Usłyszeli ci zbójcy wielki hałas, taki jakby król potężny wychodził z miasta swego w otoczeniu żołnierzy i konnicy. Zatrwożyli się zbójcy i porzucili wszystko, co wzięli. Powstali przeto ci ludzie i uwalniali się z pęt, niektórzy z nich wzięli nawet swe mienie i odeszli. Gdy ujrzeli zbliżających się Józefa i Marię, zapytali się ich: „Gdzie jest król, na którego potężny głos opuścili nas zbójcy tak, że ocaliliśmy?“. Odpowiedział im Józef: „Przyjdzie po nas“.

Wieczorem tego dnia przybyli do innego miasta. Odbywało się tam wesele. Ale na skutek podstępstwa szatana przekłętą i sprawek czarowników zaniemiała narzeczona i przestała mówić. Gdy weszła Panna Maria do tego miasta niosąc w swych ramionach Syna, ujrzała ją ta niema narzeczona. Rozpostarła swe ręce nad Panem Jezusem i przyciągnawszy Go do siebie objęła, przycisnęła, ucałowała i podnosiła szybko ciało Jego ku sobie. Rozwiązała się wtedy węzeł jej języka i otworzyły się jej uszy. Wielbiąc Boga dziękowała Mu, Temu, który zwrócił jej zdrowie. Powstała wśród ludności tego miasta wielka radość tej nocy, tak iż myśleli, że Bóg ze swymi aniołami zstąpił do nich.

Pozostali tam trzy dni, otaczani czcią i obdarzani zaszczytami, i wyszli od nich zaopatrzeni w żywność na drogę. Przybyli do innego miasta i chcieli znocować w nim, ale było ono bardzo przepełnione mieszkańcami. Była w tym mieście pewna kobieta poważana. Gdy szła ona raz do rzeki, żeby się wykapać, szatan przekłętą pod postacią węża wskoczył na nią i otoczył jej brzuch. Ilekroć nadchodziła noc, rozciągał się na niej. Gdy ujrzała ta kobieta Pannę Marię i Pana Chrystusa, Jej ukochane Dziecko w ramionach, rzekła do Panny Marii: „O moja Pani, daj mi to dziecko, bym je poniosła w ramionach i ucałowała“. Maria uczyniła tak. Gdy Jezus zbliżył się do niej, odszedł ten szatan od niej i opuścił ją, uciekając i nie ujrzała go więcej od tego dnia. Wszyscy zebrani wielbili Boga Najwyższego, a kobieta ta wynagrodziła ich z wielką szczodrobyłością.

Następnego dnia wzięła ta kobieta wodę pachnącą, by w niej wykapać Pana Jezusa. Wykapałszy Go, zatrzymała u siebie tę wodę. Znajdowała się tam dziewczynka, której ciało było białe od trądu. Kobieta wylała na nią tę wodę, obmyła ją i dziewczynka natychmiast została uwolniona z trądu. Ludzie wtedy mówili: „Nie ma wątpliwości, że Józef, Maria i ten chłopiec nie są ludźmi, lecz bogami“. Gdy powzięli zamiar udania się stąd dalej, zbliżyła się do nich ta dziewczynka uwolniona z trądu, prosząc ich, by wzięli ją z sobą.

Zgodzili się na to i szła dalej z nimi.

Gdy zbliżyli się do innego miasta zobaczyli trzy niewiasty, wychodzące z grobu i pogrążone w płaczu. Widząc je Panna Maria rzekła do tej dziewczynki, która im towarzyszyła: „Zapytaj je, co im się przydarzyło, czy ich nie spotkało coś złego“. Zapytała je, lecz nie odpowiedziały, pytały tylko: „Skąd przychodzicie i dokąd idziecie, przecież już schyłek dnia i nadchodzi noc“. Odpowiedziała dziewczynka: „Jesteśmy podobni i zmierzamy do gospody“. Powiedziały jej: „Chodźcie z nami i zanocujcie u nas“. Poszły więc z



Polożna u Marii Panny. Witraż w katedrze w Laon XIII w.

wszystkich ludzi w swym państwie. Powstał tedy Józef i ująwszy Marię, swą Oblubienicę, udał się do Jerozolimy i przyszedł do Betlejem, by wpisać się do ksiąg z rodziną domu swego w miejscowości swojej. Gdy zaś napotkali groty, rzekła Maria do Józefa: „Zaiste, już nadszedł czas rodzenia, nie podołam zejść do miasta, wejdźmy więc do tej groty“.

Działo się to w czasie zachodu słońca. Józef spiesznie poszedł przyprowadzić niewiastę, by przy niej była. Niebawem spostrzegł starszuskę, Hebrajkę z Jerozolimy, rzekł więc do niej: „O błogosławiona, chodźże ze mną i wejdźże ze mną do tej groty. Jest tam kobieta bliska porodu“.

Poszła starszuszka do groty, z nią Józef, słońce już zaszło wtedy. Weszli oboje do niej, a ona była napełniona światłem piękniejszym od blasku lampy i świecznika i silniejszym niż światło słoneczne. A dziecko położone w stajni i owinięte w pieluszkę, ssało pierś Panny Marii, matki swej. Podziwiając to światło, zapytała starszuszka Pannę Marię: „Czy jesteś matką tego dziecięcia?“. Odpowiedziała Panna Maria: „Tak“.

Rzekła starszuszka: „Nie jesteś po-

obrezano Go w grocie. Po upływie dziesięciu dni wyprowadzili Go do Jerozolimy, a po czterdziestu dniach od urodzenia przywieźli Go do świątyni przed oblicze Pana, składając za Niego ofiary, przepisane w prawie Mojżesza. Głosi ono, że każdy mężczyzna poczynający żywot będzie nazwany Świętym Pana.

Ujrzał Go Symeon starszerek, lśnącym jak słup światła, a młoda niewiasta Panna Maria, Matka Jego, niosła Go w swych ramionach, przepełniona radością, a aniołowie otaczali ją na kształt koła i sławili, jak gdyby armia defilująca przed królem. Pośpiesznie poszedł Symeon do Panny Marii i wyciągnawszy swe ręce przed nią, rzekł do Pana Jezusa: „Teraz może odejść Twój sługa w pokoju, o mój Panie, wedle słowa Twego, ujrzały bowiem oczy moje litosć Twą, którą zgotowałeś dla zbawienia wszystkich narodów, światło dla wszystkich narodów i sławę dla Twego ludu izraelskiego. Była tam także Hanna, prorokini, która składała dziękczynienie Bogu i sławiła szczęście Panny Marii.

Działo się to, gdy narodził się Pan Jezus w Betlejem żydowskim w epoce króla Heroda. Oto magowie przyszli ze Wschodu do Jerozolimy,

tłum. z arabskiego Natalia Rykaczewska

LIA DZIECIĘCTWA

nimi i zbliżyli się do nowego domu, ozdobnego i wyposażonego w wiele sprzętów. Weszli do tego domu, a było to w czasie dni zimowych. Dziewczynka także weszła do nich i zastała je pogrążone w płaczu i głośno lamentujące. Miały one jednego muła, okrytego drogim brokatem, przed nim stało ziarno, one zaś całowały go i dawały mu paszę. Powiedziała ta dziewczynka: „O moja Pani, jaki piękny jest ten muł“. Odjawiła jej płacząc: „Ten muł, którego widzisz był naszym bratem, urodzonym z naszej matki. Ojciec nasz umarł, zostawiając nam w dziedzictwie wielki majątek. Miałśmy tylko tego brata. Zamierzaliśmy go ożenić i wyprawić mu wesele według zwyczajów przyjętych u ludzi. Ale zazdrościły mu niewiasty i zaczarowały go, a my nic o tym nie wiedziałyśmy. Przebywając pewnej cy tuż przed świtem, w naszym domu, którego drzwi były zamknięte, ujrzałyśmy nagle naszego brata, przemienił się wtedy w muła, jak go widzisz. Nie mamy ojca, żeby nas w tym pocieszył, opomógł nas przez to smutek, jak widzicie. Nie pominęłyśmy żadnego z mędrców na świecie i czarowników. Zapraszałyśmy ich do nas, lecz nie mu nie pomogli. Ilekroć ból przygniata nasze piersi, wstajemy i idziemy z naszą matką, by wyplakać się na grobie ojca, potem wracamy“.

Gdy usłyszała to od nich ta dziewczynka, powiedziała: „Pocieszcie się i nie płaczcie, ponieważ lekarstwo na waszą chorobę jest bliskie. Jest ono z wami i w środku domu waszego. Ja bowiem byłam trędowatą. Ale ujrzałam tę kobietę z małym dzieckiem, którego imię jest Jezus. Gdy Go Jego matka wykąpała, wzięłam tę wodę i wylałam na swoje ciało. Zostałam uzdrowiona i wiem, że Ona może zarządzić również waszemu nieszczęściu. Przetę powstańcie i idźcie do Panny Marii, Matki Jego, wprowadzonej do waszego domu i odsłońcie przed Nią swą tajemnicę. Proście i błagajcie Ją o litość nad sobą“. Gdy usłyszały kobiety mowę dziewczynki, po-



Dzieciątko Jezus w kąpieli.
(Plaskorzeźba średniowieczna)

szły śpiesznie do Panny Marii, która przebywała u nich i usiadłszy przed Nią płakały, mówiąc: „O pani nasza, Panno Mario, zmiluj się nad sługami Twoimi. Nie mamy nad sobą zwierzchnika, ani przewodnika, ani ojca, ani brata, wchodzącego i wychodzącego od nas, a ten muł, którego widzisz, był naszym bratem. Ale zaczarowały go niewiasty, tak iż stał się takim, jak go widzisz. Prosimy Cię teraz, żebyś okazała miłosierdzie nad nami“. Wtedy zlitowała się nad nimi Panna Maria, wzięła Pana Jezusa i położyła Go na grzbiecie muła, płacząc wraz z tymi niewiastami. Rzekła do Syna Swego, Jezusa Chrystusa: „O mój Synu, siłą wielką, którą posiadasz, uzdrów tego muła i uczyn go człowiekiem rozumnym, jakim był przedtem.“ Zaledwie to słowo wyszło z

ust dziewięcioletniej Panny Marii, zmienił się ten muł i przybrał postać ludzką. Był to człowiek młody, zdrowy i bez żadnej usterki. Potem ze swoją matką i siostrami oddawał pokłon Pannie Marii. Wznosząc chłopca ponad swą głowę, poczęli Go całować mówiąc: „Błogosławiona rodzicielka Twoja, o Jezu, Zbawicielu świata, błogosławione oczy, które zażywają dobroci Twojego spojrzenia“.

Powiedziały obie siostry do matki swej: „Brat nasz przywrócony został do zdrowia przy pomocy Pana Jezusa Chrystusa i tej błogosławionej dziewczynki, która przyniosła nam wiadomość o Marii i Jej Synu. Teraz ponieważ brat nasz nie ma jeszcze żony, wypada, żeby ożenił się z tą dziewczynką, ich służebnicą.“ Prosiły Marię o to, zgodziła się na ich prośbę i urządziła tej dziewczynce wspaniałe wesele, a smutek przedzierzgnął się w radość, łkanie w wesele. Poczęli cieszyć się, radować i weselić, będąc uszczęśliwieni z powodu mnogości swych uciech. Przystroili się w najwspanialsze swe szaty i klejnoty. Potem zwracając się do Boga, wielbili Go mówiąc: „O Jezu, synu Dawida, który jesteś władny przemienić troskę w radość, a smutek w wesele“. Tak zabawiali się Maria i Józef, pozostając tam przez dziesięć dni, potem wyruszyli stamtąd, otaczani wielką czcią przez ludzi ich żegnających. Rozstając się z nimi, płakali szczególnie z powodu tej dziewczynki.

Gdy oddalili się stąd, przybyli do ziemi pustynnej, o której słyszeli, że ziele trwogą. Zamyślał więc Józef i Maria przejeżdżać przez tę ziemię nocą. Idąc, zobaczyli na swej drodze dwóch zbójców śpiących, a obok nich mnóstwo innych zbójców, ich towarzyszy, także pogrążonych we śnie. Ci dwaj zbójcy, których oni spotkali byli to Tytus i Dumahus. Rzekł Tytus do Dumahusa: „Proszę cię zrobić im wolną drogę do przejścia, niech się nie dowiedzą o nich nasi towarzysze“. Gdy Dumahus odmówił, powiedział do niego Tytus: „Przyjmij ode mnie czterdzieści drachm, biorąc je jako zastaw“. Wręczył mu długi pas, który miał na sobie, żeby milczał, nie o tym nie mówiąc. Gdy zobaczyła Panna Maria tego zbójcę, ujęta jego pięknym postępkim w stosunku do nich, rzekła: „Pan Bóg przyjmie ciebie po prawicy Swej i udzieli ci odpuszczenia grzechów“. Odpowiedział Pan Jezus, mówiąc do swej Matki: „O moja Matko, po upływie trzydziestu lat ukrzyżują mnie Żydzi w mieście Jerozolimie, ukrzyżują również tych dwóch zbójców ze mną, Tytusa po mej prawicy, a Dumahusa po lewicy. Po tym dniu wyprzedzi mnie Tytus w wejściu do raju.“ Odrzekła: „Niech Cię Bóg strzeże, o Synu mój, od tego“. Stąd poszli do miasta bożków. Gdy tylko się do niego zbliżyli, przeistoczyło się w pagórek piasku.

Następnie poszli do Dżamizy, którą zwą dzisiaj Matriatą. Wywiódł Pan Jezus w Matriacie źródło wody, w którym wyprała Panna Maria koszulkę Jego. Z potu Pana Jezusa, który spływał tu rześkie, pochodzi w tym kraju balsam.

Stąd zeszedli do Egiptu i ujrzeni Faraona. Pozostali w ziemi egipskiej przez trzy lata. Czynił Pan Jezus w ziemi egipskiej wiele cudów, nie są one zapisane ani w Ewangelii Dzieciństwa, ani w Ewangelii całokwitej.

Po upływie trzech lat powrócił z Egiptu. Gdy przybyli do ziemi ży-

dowskiej, obawiał się Józef wejść do niej. Doszła Go wieść, że królem w kraju jest Archelaus, syn Heroda. W obawie poszedł do ziemi żydowskiej. Wtedy zjawił Mu się anioł Pański, mówiąc: „O Józefie, idź do miasta Nazaretu“. Wydawać się to dziwne, że tak musiał wędrować po różnych krajach Władca krajów.

Gdy przyszedli do miasta Betlejem, była tam pewna kobieta mająca dwóch synów, bliźniaków, i obaj byli dotknięci chorobą. Jeden z nich zmarł, a drugi leżał w agonii. Wzięła go matka w ramiona i płacząc, przysłała z nim do Panny Marii, mówiąc do Niej: „O moja Panno Mario, wesprzyj mnie i udziel mi pomocy. Miałam bowiem dwóch synów i w tej godzinie pogrzebałam jednego, a drugi jest już blisko śmierci. Powiedz, jak mam jeszcze prosić Boga i błagać Go“. Zaczęła



Pokłon mędrców.
(Z rękopisu z XIII w.)

mówić: „O Panie, Tyś jest litościwy, miłosierny i sprawiedliwy. Dales mi dwóch synów, lecz zabrałeś jednego, pozostaw więc mi drugiego“. Gdy ujrzała Panna Maria żar jej płaczu, zlitowała się nad nią i rzekła jej: „Połóż swego syna w łóżku mego syna i nakryj ubraniem jego“. Położyła go w łóżku, w którym spoczywał Chrystus. Chłopiec zacisnął już powieki rozstając się z życiem, lecz gdy doleciał do niego zapach szat Pana Jezusa Chrystusa, otworzył swe oczy. Wesół krzyczał do matki mówiąc: „O moja matko daj mi chleba“, Podała mu, a on jadł. Powiedziała jego matka do Panny Marii: „Teraz poznałam, że mieszka w Tobie siła boska, gdyż syn Twój uzdrawia chłopców, mających tę samą naturę, gdy tylko dotkną się szat Jego.“ Ten zaś młodzieniec, który został uzdrowiony, nazwany jest w Ewangelii Bartłomiejem.

Znajdowała się także w tym kraju niewiasta, która miała syna, opętanego przez szatana. Miał on na imię Judasz i ilekroć dręczył go ten szatan, kasał wszystkich ludzi zbliżających się do niego. Gdy zaś nie znajdował przy sobie nikogo, gryzł swe ręce i pozostałe członki. Matka nieszczęśliwego, usłyszawszy tę wiadomość o Pannie Marii i Jej synu Jezusie, powstała i poniosła Judasza, przynosząc go do Panny Marii. Jakub i Joses wynieśli byli Pana Jezusa, żeby to Dziecko bawiło się z innymi dziećmi. Wyszędłszy z domu, usiedli, a z nimi Pan Jezus. Przyszedł tedy Judasz obłąkany i usiadł po prawej ręce Pana Jezusa. Zjawił się wtedy szatan, wedle swego zwyczaju i chciał kasać Pana Jezusa. Ponieważ nie mógł Go dosięgnąć, uderzył Jezusa w prawy bok. Zapłakał Pan Jezus i w tej chwili wyszedł szatan z tego chłopca, uciekając pod postacią wściekle-

go psa. Chłopiec ten, który uderzył Jezusa i wyszedł z niego szatan pod postacią psa, był to Judasz Iskariota, który Go wydał Żydom. A bok, w który Go uderzył Judasz, ten właśnie przebili Żydzi, włócznią.

Gdy skończył Pan Jezus siedem lat od swego urodzenia, przebywał pewnego dnia z dziećmi, rówieśnikami, którzy byli w Jego towarzystwie. Bawili się w miękkiej ziemi, robiąc figurki podobne do osłów i wołów, ptaki i inne rzeczy. Każdy z nich chwalił się swym dziełem i uważał za piękną swą robotę. Rzekł Pan Jezus do chłopców: „Figurkom, które zrobiliście, rozkażę chodzić“. Pytali chłopcy: „Czy jesteś synem Stwórcy?“ Gdy rozkazał im Pan Jezus, żeby chodzili, w tej chwili zaczęły podskakiwać, potem nakazał im i wróciły. Uczynił zaś figurki ptaków i wróbi i kazał im latać i latały. Potem kazał im zatrzymać się, wtedy usiadły na Jego rękach i karmił je, a one jadły, potem poił je i piły. Chłopcy ci poszli powiedzieć swym ojcom o tym. Powiedzieli im ich ojcowie: „O chłopcy, nie miejcie z nim więcej do czynienia, ponieważ jest on czarodziejem. Strzeżcie się Go i unikajcie, nie powracajcie, by się z nim bawić“.

Następnie wziął Józef Pana Jezusa z sobą i oprowadzał Go po całym mieście, ponieważ ludzie zwykli go ze względu na jego rzemiosło, by robił im drzwi, wiadra do mleka, sita i skrzynie. Towarzyszył mu wszędzie Pan Jezus, dokąd szedł. Ilekroć Józef miał coś do robienia dłuższego lub krótszego, szerszego lub węższego, Pan Jezus rękę swą do tego wyciągał, czyniąc gesty i natychmiast ta rzecz stawała się taką, jaką pragnął mieć Józef, i nie potrzebował on już nic robić swą ręką, ponieważ Józef nie był wtedy biegły w rzemiosle cieleskim.

Pewnego dnia wezwał go król Jerozolimy, mówiąc do niego: „O Józefie, chcę żebyś mi zrobił tron według miary miejsca, na którym siedzę“. Posłusznie się zgodził i natychmiast zaczął robić tron, przebywając w domu króla dwa lata, aż skończył robotę tego tronu. Gdy umieścił go na jego miejscu znalazł go krótszym od miary z każdego końca o dwie dłonie. Gdy ujrzał to król, gniewał się na Józefa, Józef z wielkiego strachu przed królem poszedł spać głodny. Zapytał go Pan Jezus: „Dlaczego się boisz?“ Odpowiedział Józef: „Ponieważ zepsułem wszystko, co robiłem w ciągu dwóch lat“. Rzekł mu Pan Jezus: „Nie bój się i nie smuć, lecz uchwyc za jeden bok tronu, ja zaś za drugi żeby go naprawić“. Uczynił Józef tak, jak mu powiedział Pan Jezus i każdy z nich pociągnął za swój koniec. Tak tron został naprawiony i dopasowany do miary tego miejsca. Gdy ujrzeni obecni cud, zdumieni się i wielbili Boga. Drzewo zaś tego tronu pochodziło z drzewa, które się pojawiło w czasach Salomona, syna Dawida. Z tego drzewa robione różne rzeźby i figurki.

Pewnego dnia powiedziała Panna Maria do Pana Jezusa: „Idź, o mój synu, i przynieś mi ze studni wody“. Kiedy poszedł, żeby przynieść wody i napełnić naczynie, i wyciągnął je, zbiło się, będąc napełnione. Wtedy rozpostarł Pan Jezus swój płaszcz, zebrał wodę i zaniósł ją w płaszczu do matki swojej. Gdy to ujrzała Panna Maria dziwiła się temu, lecz zataiła wszystkie rzeczy,

które widziała i przechowała w swym sercu.

Gdy miał dwanaście lat, poszli do Jerozolimy na święta. Kiedy skończyły się święta, wrócili oni, ale Jezus pozostał w tyle za nimi w świątyni między uczonymi starszyzną i świątymi spośród synów Izraela. Pytał ich i odpowiadał im wzajemnie na różne rzeczy znane. Zapytał ich: „Czym synem jest Chrystus?“ Odpowiedzieli Mu: „Synem Dawida“. Powiedział im: „Dlaczego nazywa Go Panem swoim w Duchu, gdy mówi: „Rzekł Pan do Pana mego. Siadź po prawicy Mojej, ażebym położył Twych wrogów pod stopami nóg Twoich“. Zapytał Go starszy z uczonych: „Czy czytałeś księgę?“ Odpowiedział mu Pan Jezus: „Księgę i to, co jest w księdze“. I objaśniał im księgę i Torę i przepisy, ustawy i tajemnice, które są w księdze poroków i rzeczy, których nie przeniknął żaden umysł stworzenia. Rzekł ten uczony: „Dotąd nie znałem i nie słyszałem takiej wiedzy. Jak sądzisz: „Kim jest ten chłopiec?“

Podczas gdy oni mówili o tym i o innych rzeczach, przysłała Panna Maria, która trzy dni krążyła wokół, szukając Go z Józefem. Ujrzeni Go siedzącego między uczonymi. Zastawiając On im pytania i odpowiadał im. Spytała Go Panna Maria: „Dlaczego nam tak uczyniłeś, mój synu? Ja i Twój Ojciec w trudzie wielkim szukaliśmy Cię“. Odpowiedział: „Dlaczego szukaliście mnie? Czyż nie wiedzieliście, że przystoi, żebym był w domu Ojca mego?“ Ale oni nie rozumieli słów, które im powiedział. Pytali mędrcy: „Czy to Twój syn Mario?“ Odpowiedziała: „Tak“. Powiedzieli Jej: „Szczęśliwaś Mario, że urodziłaś takiego syna“. I powrócił Pan Jezus do Nazaretu, i był im posłuszny we wszystkich rzeczach. Matka Jego zachowała wszystkie słowa w sercu swoim, a Pan Jezus przybierał na siłach, i swej mądrości, i łasce u Boga i ludzi.

Od tego dnia zaczął kryć swe cuda, tajemnice i sekrety i zajmował się prawem Tory do ukończenia trzydziestu lat życia, aż kiedy to ukazał Mu się Ojciec nad Jordanem, wołając donośnym głosem z nieba; „Ten jest, syn mój kochany, w



Jezus w szkole.

Wg okładki ze średniowiecznego ewangeliarza z Mediolanu).

którym spoczywałem, a Duch Święty był obecny pod postacią gołębia.“

To jest Ten, którego kornie błagamy, który jest naszą istotą i naszym życiem. On nas wyprowadził, przyjął ciało z powodu nas i odkupił nas przez Swe miłosierdzie. Rozdziela On szczerze między nas Swą łaskę, szlachetność, dobroczynność i życzliwość. Jemu niech będzie chwała i sława, potęga i panowanie od tego dnia przez wszystkie lata, stulecia i czasy na wieki wieków i wieczne trwanie.

AMEN.

Kończy się Ewangelia przy pomocy Pana Najwyższego wedle tego, co znaleźliśmy w oryginale.

Rozmowa z ks. prof. Kazimierzem Klósakiem

Ks. Profesor jest na pewno bardzo zajęty pracą pedagogiczną oraz dociekami naukowymi, a jednak przyjmuje nas życzliwie i z filozoficzną wyrozumiałością traktuje naszą natarczywość dziennikarską. Jego powaga i zapal udzielają się rozmówcom i dlatego wkraczamy od razu na tematy poważne.

— Żyjemy w czasach — mówi ks. Profesor — które domagają się maksymalnego wysiłku we wszystkich dziedzinach twórczości kulturalnej, a więc także w dziedzinie myśli filozoficznej. Punkt ciężkości zainteresowań filozoficznych przesunął się w chwili obecnej na najbardziej podstawowe zagadnienia światopoglądowe, na metafizykę.

Głównym zadaniem, jakie obecnie narzuca się katolikom w dziedzinie twórczości filozoficznej, jest takie uzasadnienie też tradycyjnego spirytualizmu, żeby ono stało na poziomie wymagań współczesnej wiedzy. Żel już wreszcie raz przestało się słyszeć takie zarzuty, jakie jeszcze niedawno wysunął Tadeusz Czeżowski w pracy O METAFIZYCE, JEJ KIERUNKACH I ZAGADNIENIACH (Toruń 1948), że „w swej postaci tradycyjnej” wszystkie dowody istnienia Boga i nieśmiertelności duszy „są bardzo niecisłe i posiadają małą moc uzasadniającą”.

Myśl filozoficzna katolików nie może się jednak ograniczyć do samej obrony też tradycyjnego spirytualizmu. Katolicy muszą jeszcze zasymilować do swojej doktryny filozoficznej krytycznie przejrzaną wszystkie zdobycze teoretyczne, do jakich doszła myśl nowożytna. Sądzę, że tomizm, o którym mówił ks. Konstanty Michalski, iż „nie jest systemem w sobie zamkniętym”, lecz że sięga „tak daleko, jak daleko sięga wszelka myśl i rzeczywistość”, powinien być ciągle na nowo przemysłowywany w związku z wymiarami nowoczesnego przyrodznawstwa i współczesnej filozofii. Jest to program sugerowany ze szczególną siłą przez wielkiego kardynała Merciera oraz przez założony przez niego INSTITUT SUPERIEUR DE PHILOSOPHIE. W naszym czasie musimy podjąć się pracy asymilacyjnej, analogicznej do tej, jakiej dokonano z pionierską śmiałością w XIII-wym wieku. Praca taka przechodzi jednak możliwości jednostki i domaga się udziału szerokiego zespołu specjalistów.

— Która część filozofii scholastycznej wymaga według ks. Profesora w najszerszym zakresie nowego przemyslenia?

— Filozofia przyrody. Ten dział filozofii musi pozostawać w ustawicznym kontakcie z osiągnięciami nauk przyrodniczych. Nie mogę zgodzić się ze stanowiskiem Jakuba Maritaina, który wzbrania się we filozofii przyrody wyjść z faktów studiowanych przez nauki przyrodnicze, gdyż sądzi, że fakty naukowe są same w sobie bez znaczenia dla filozofa i że przez powoływanie się na nie nie można rozwiązać żadnego zagadnienia filozoficznego. Odpowiada mi raczej punkt widzenia D. Nysa i J. Lemaire'a, według których filozofia przyrody bierze takie dane nauk przyrodniczych, jak fakty i prawa, by je wyjaśnić w ich ostatecznych przyczynach. Konfrontacja scholastycznej filozofii przyrody z wynikami nowoczesnego przyrodznawstwa musi oczywiście doprowadzić do modyfikacji niektórych starych pojęć. Sam Maritain, chociaż w zasadzie lekceważył w filozofii przyrody fakty naukowe jako takie, to jednak, licząc się z niektórymi

rezultatami nauki nowożytnej, uznaje potrzebę rewizji pojęcia jedności substancjalnej i pojęcia materii ożywionej. Przyznaje również, że dane geometrii Łobaczewskiego i Bolyai zmuszają filozofa do oczyszczenia wielu pojęć dotyczących ilości.

— Czytaliśmy już liczne prace ks. Profesora z zakresu filozofii przyrody. Czy moglibyśmy dowiedzieć się czegoś o jego aktualnych pracach naukowych?

— Jeżeli idzie o zagadnienia z dziedziny filozofii przyrody, to w

chwili obecnej moją uwagę ognisku- je zagadnienie początku życia oraz zagadnienie rozumowego dowodu za- tecz, że wszechświat nie istniał zawsze, lecz że zaczął swoje istnienie w czasie, lub lepiej, z czasem.

Pierwsze zagadnienie poruszyłem już w pracy MYŚL KATOLICKA WOBEC TEORII SAMORODZTWA (Kraków 1948). W pracy tej utrzymałem, że da się pozytywnie uzasadnić teoretyczną możliwość samorodztwa rozumiana w tym znaczeniu, że Bóg udzielił materii nieoży-

wionej zdolności do wydania z siebie w pewnych warunkach życia organicznego, która to zdolność z postanowienia Bożego byłaby przeprowadzana z możliwości do aktu przez ciała pozbawione życia organicznego. Z upływem czasu nasunęły mi się jednak pewne zastrzeżenia odnośnie do tego poglądu, choć te zastrzeżenia nie są tego rodzaju, żeby wywołały u mnie negatywne ustosunkowanie się do teorii samorodztwa. Jak dawniej sądzę, że niemożliwości samorodztwa udowodnić się nie da, utrzymuję jednak, że

przynajmniej przy obecnym stadium wiedzy przyrodniczej nie jesteśmy w stanie na terenie metafizyki tradycyjnej udowodnić pozytywnie możliwości samorodztwa w co dopiero podanym znaczeniu.

Odnosnie do drugiego zagadnienia, które mię pochłania w chwili obecnej, chciałbym zaznaczyć, że choć katolik musi uznać dogmat, że wszechświat nie istniał zawsze, lecz że zaczął swe istnienie w czasie, lub lepiej, z czasem, to jednak katolik

(dokończenie obok)

O s i ą g n i ę c i a

(dokończenie ze str. 4-tej)

Mao Tse-tung stwierdza, że:

„Natychniast po upadku rządu Kuomintangu, przedsiębiorstwa opanowane przez cztery wymienione uprzednio rodziny — muszą być usunięte. Wtedy nastąpi dopiero pierwszy początkowy okres ekonomii państwowej”.

Dziedzina ekonomii państwowej objąć więc ma: ciężki przemysł, łącznie ze źródłami energii, środki transportowe i banki.

Polityka przemysłowa chińskiej partii komunistycznej została ustalona następująco: przeprowadzić nacjonalizację, rozwinąć wytwórczość, stworzyć gospodarke dochodową, polepszyć warunki pracy.

POLITYKA SOCJALNA: ZWIĄZKI

Zadania związków zostały określone przez 6-ty Kongres Pracy, który zebrał się w Charbinie w Mandżurii i trwał od 1 — 22 sierpnia, 1948 roku.

Był to pierwszy tego rodzaju Kongres po 19-letniej przerwie. 500 delegatów reprezentowało nie tylko wolne związki nowych Chin ale i związki znajdujące się pod władzą Kuomintangu. Delegaci ci utworzyli Panchińska Federację Pracy, stanowiącą centralny i połączony organ ruchu związkowego, który został przyłączony do Światowej Federacji Związkowej.

Podczas gdy w Chinach nacjonalistycznych wszystkie wysiłki związków poświęcane były walce o osiągnięcia od właścicieli tego minimum zarobku, które pozwoli pracownikowi i jego rodzinie uniknąć nędzy — to w Chinach wyzwolonych cel jest inny i brzmi: „Produkcować”. Wychowawczym zadaniem związków jest wykazanie robotnikowi konieczności rozwoju i zwiększenia wytwórczości.

Chłopi, którzy stali się teraz właścicielami swojej ziemi, mogli obecnie włożyć cały swój wysiłek w maksymalną produkcję rolną. Tak samo przedstawiała się sytuacja jeśli chodziło o pracowników przedsiębiorstw państwowych i pracowników przedsiębiorstw spółdzielczych, którzy bez pośrednio nimi zarządzali.

W dziedzinie przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych zadaniem związków było stworzenie Komitetów przedsiębiorstw lub Komitetów zarządzających, które współpracowały razem z dyrektorem naczelnym dbając o lepszą organizację pracy, zmniejszenie kosztów produkcji, polepszenie gatunku produktów wytwarzanych i zajmując się zagadnieniem zakupów

artykułów pierwszej potrzeby, rozdziałem produkcji, ustalaniem cen i dochodu itd.

Stwierdzono, że należy dążyć do powiększenia produkcji poprzez zachęte w postaci większego zarobku. Ustalono więc siatkę płac, dano więcej inżynierowi niż majstrowi, majstrowi więcej niż wykwalifikowanemu robotnikowi a temu ostatniemu więcej niż robotnikowi prostemu. Do tej linii wynagrodzenia kwalifikacji dołączyło się wynagradzanie związane z jakością produkcji, przeprowadzone systemem premii oraz wprowadzenie tytułu „bohatera pracy”. Podobnie jak w Rosji Radzieckiej wyróżnienie to było nadawane tym, którzy przez swoją wyteżoną pracę lub pomysłowość przyczynili się do zwiększenia czy ulepszenia produkcji.

Partia poleciła aby w każdej dziedzinie przemysłu odbywały się specjalne spotkania pomiędzy kierownictwem, robotnikami, przedstawicielami związków i spółdzielni dla przedyskutowania zagadnień i uzgodnienia ich w sposób najlepszy (wynagrodzenie od sztuki, premie) dla ulepszenia i maksymalnego zwiększenia produkcji.

Pierwszym zadaniem związków natychmiast po ich wprowadzeniu w dzielnicach wyzwolonych było podniesienie płac powyżej poziomu głodowego na jakim znajdowały się w okresie Kuomintangu. Najpierw zostały one podwojone a następnie jeszcze podniesione o 30 proc. Ponieważ jednak ciągłe zmiany wartości pieniądza musiały odbijać się na robotnikach ustalono ich wynagrodzenie w skali ruchomej, w stosunku do cen artykułów najpopularniejszych jak jęczmień i kasza w Chinach płn. Płace wahały się od 240 funtów miesięcznie dla praktykanta do 800 dla dyrektora fabryki. Robotnicy wyspecjalizowani zarabiali przeciętnie 500 funtów tygodniowo. Spółdzielnie wspomagane pożyczkami rządowymi podjęły się dostarczania za minimalną opłatą żywności, odzieży i najkonieczniejszych przedmiotów użytkowych.

Następną sprawą było załatwienie kontraktów zbiorowych. Obje-mowały one warunki pracy, angażowanie pracownika, zwalnianie go lub dymisjonowanie, rekompensaty, kary, zabezpieczenie przed wypadkami przy pracy, zdrowie pracowników itd.

Zgodnie z zasadami sformułowanymi przez partię komunistyczną związek miał prawo żądać podwyżki uposażeń tylko w tym wypadku jeśli finansowa sytuacja przedsiębiorstwa i jego dochodo-

wość pozwalały na powiększenie uposażeń bez jednoczesnego podwyższenia cen na produkowane artykuły i jeśli było to możliwe przez ulepszenia produkcji, udoskonalenia organizacji, lepsze uzyskanie możliwości fabryki. Zapoznanie się ze stanem faktycznym mogło zostać skutecznie przeprowadzone tylko systemem rozmów z dyrekcją, współpracą z nią i pełnym zainteresowaniem się funkcjonowaniem przedsiębiorstwa. Związki przekraczając więc daleko swoją rolę społeczną musiały odgrywać również rolę ekonomiczną. W rezultacie powstał system gospodarki w którym proletariatus czuł się współgospodarzem.

Jednym z osiągnięć działalności związków było skrócenie czasu pracy. Dotychczas 14 lub 16-to godzinny dzień pracy był uważany za rzecz normalną, dzisiaj jest on skrócony do 8 — 10 godzin, najwyżej 12-tu łącznie już z godzinami pracy nadliczbowej. Godziny nadliczbowe nie mogą przekraczać miesięcznie ilości 48 i nie mogą być nakazywane dłużej niż 4 dni z rzędu. Następnie kobiety i młodzież otrzymują wynagrodzenie takie samo jak mężczyźni, niezależnie od tego czy praca ich jest taka sama czy cięższa i ponadto korzystają ze specjalnej ochrony jeżeli chodzi o pracę nocną lub za jej ciężką.

Widzimy więc jak ważną rolę w tym ustroju odgrywają związki zawodowe. Na nich spoczywa nie tylko zadanie obrony robotnika w stosunku do właścicieli prywatnych — klasyczne zadanie związków w krajach zachodnich — ale przede wszystkim zadanie regulowania stosunku pracownika do warsztatu pracy i pracy nad ekonomicznym rozwojem państwa. Od ich efektywnej pracy zależy więc w dużej mierze rozwój życia gospodarczego Chin.

WNIOSEK OSTATECZNY

Ostatnie kilka dziesiątków lat było dla Chin okresem największych wstrząsów. Okres ten wylęcza dwie daty: 10 października 1911, dzień proklamacji „Republiki Chińskiej” i 22 wrzesień, 1949 proklamacja „Ludowej Republiki Chińskiej”. Śledzimy rozwój rewolucji burżuazyjnej, która przegrała, i rozwój rewolucji następnej, która głosi utworzenie demokracji ekonomicznej i politycznej i przygotowanie lepszego jutra.

Pewni starzy „rezydenci” cudzoziemscy, europejscy czy amerykańscy, którzy przeżyli swoje

piękne dni w Chinach w okresie reżimu koncesji i którzy tęsknie wdychają do tabliczek „wejście dla psów i Chińczyków zabronione”, które przybite były na wejściu do „ich” parków „publicznych” rozumują zwykle w sposób następujący: w ciągu swojej historii Chiny znały walki klanów, klanów rasowych, geograficznych, rodzinnych jak Mongołów przeciwko Chińczykom, północy z południem, zwolenników małżonki oficjalnej i zwolenników konkubiny nr 1. Komuniści coprawda zajmują północną część kraju a Kuomintang południową ale jest to zwykły przypadek historyczny, sytuacja mogła być akurat odwrotna. Zresztą na południu od dawna już walczyło szereg guerrillas komunistycznych. W rzeczywistości ludzie i partie reprezentują pewne interesy a te interesy są po prostu interesami różnych klas społecznych. Cywilna wojna chińska, to walka 85 proc. ludności, która chce mieć codziennie zapewnioną swoją miarkę ryżu przeciwko 15 proc., które żyją ich kosztem.

Obraz ten może wydawać się uproszczonym, tym niemniej jest prawdziwy. W Chinach dobiega obecnie końca najgigantyczniejsza ze znanych na świecie walka klas w której nieposiadający walczą z posiadającymi. Walka ta dziś toczy się nie tylko w Chinach. Należy się zastanowić, że w odległej Azji żyje 1500 milionów ludzi wiecznie wyzyskiwanych i żyjących a raczej trwających w warunkach takiej nędzy i niewolnictwa jakiego u nas nie znają nawet zwierzęta. Masy te zwracają się ku idei socjalistycznej, która jest ich jedyną nadzieją. Ze strony Zachodu tak samo Europy jak Ameryki spotkali się tylko z wyzyskiem: za kilka skrzynek leków ile zużyto się ton granatów, a za kilka szczepionek dyfterii ilu obywateli było roztrzelanych przez policję, ilu zmarło w niewoli „politycznej”. Zachód poza tym popiera drugiego wroga: pana feudalnego i wielkiego właściciela ziemskiego. Miliony mieszkańców Azji pragnie wyzwolić się spod ucisku tych dwóch wrogów, obcego kapitalisty i pana feudalnego a pomoc znajdują tylko w jednym obozie — socjalistycznym. Jest pewne, że poprzez socjalizm i socjalizmem razem miliony ludzi w Azji stają na progu zwalczenia głodu, niepewności, i spodlenia aby ująć w swoje własne ręce swój ludzki los.

tłum. Wanda Ursteinowa

mógłby powiedzieć, jak to uczynił D. Nys w pracy LA NOTION DE TEMPS (Louvain — Paris, wyd. trzecie, 1925, str. 146 — 205), że nie da się przytoczyć ścisłych argumentów rozumowych za poglądem, iż istnienie wszechświata mierzy się skończonym okresem trwania czasowego. Dla mnie jednak teza, że wszechświat nie ma początku w swym trwaniu czasowym, wydaje się nie do przyjęcia już ze stanowiska czysto rozumowego. W artykule KINETYCZNY DOWÓD ISTNIENIA BOGA WOBEC NOWYCH ZARZUTÓW (ZNAK, 1949, nr 19) pisałem: „Jeżeli istnienie materii wyraża się w czasie, to w takim razie materia nie może istnieć wiecznie, lecz musi mieć początek w czasie. Bo każdy odcinek czasu, jaki zdolamy wyodrębnić, ma charakter czegoś skończonego, a ze sumowania się skończonych odcinków czasu może powstać tylko skończony okres trwania sukcesywnego.“ (Str. 401). Ten argument pragnę szerzej rozprawić.

Problematyka chwili obecnej nie pozwala mi jednak zamknąć się w zagadnieniach filozofii przyrody. Pracując w dalszym ciągu nad tymi zagadnieniami zaczynam przechodzić powoli na teren teodycei i psychologii metafizycznej. Kończąc obecnie pisanie większego studium pt. DOWÓD KINETYCZNY ISTNIENIA BOGA W UJĘCIU ŚW. TOMASZA Z AKWINU, Bezpośrednią podmetę do podjęcia tej pracy dała mi dyskusja, jaka się wywiązała wokół mego artykułu KINETYCZNY DOWÓD ISTNIENIA BOGA WOBEC NOWYCH ZARZUTÓW. (Artykuł ks. Witolda Pietkuna DOWÓD KINETYCZNY WOBEC TEORII KWANTÓW, ATENEUM KAPLAŃSKIE, 1950, zeszyt z marca, str. 185 — 197). Z zagadnień psychologii metafizycznej po ogłoszeniu w 22 numerze ZNAKU artykułu METODA BADAŃ NATURY DUSZY opracowałem już zagadnienie substancjalności duszy. Czekam na jeszcze opracowanie zagadnienia duchowości i nieśmiertelności duszy ludzkiej. Zagadnienia z zakresu teodycei i psychologii metafizycznej będą mnie dręczyły chyba całe życie. Coraz lepiej rozumiem sens ekskluzywnego programu św. Augustyna: DEUM ET ANIMAM SCIRE CUIUS, NIHILNE PLUS? NIHIL OMNINO. (SOLILOQ., I, 7).

— Czy mógłby nam ks. Profesor powiedzieć coś o początkach swojej pracy naukowej?

— Pracę naukową rozpocząłem pod kierunkiem ks. Rektora Konstantego Michalskiego C. M., pisząc na jego Seminarium studium o całości twórczości Jakuba Maritaina. Ze studium tego, które stało się moją pracą doktorską, ogłosiłem niektóre rozdziały w COLLECTANEA THEOLOGICA i w POLSKIM PRZEGLĄDZIE TOMISTYCZNYM. Dziś oddaliłem się już dość znacznie od poglądów, głoszonych przez francuskiego myśliciela. Najbliższym został mi jeszcze Maritain jako filozof kultury ze swą ŚWIECKĄ KONCEPCJĄ CYWILIZACJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ (UNE CONCEPTION PROFANE CHRETIENNE DU TEMPOREL), która stanowi zastosowanie w sensie analogicznym zasad średniowiecznego ideału cywilizacyjnego do nowożytnego klimatu dziejowego.

rozmowę przeprowadził

Z. K.

Całe szczęście, że wobec naszych czytelników Chesterton nie wymaga już prezentacji. Za ledwie drobną część jego dzieł przetłumaczona jest na język polski, ale cóż z tego: myśl angielskiego trubadura i pamphletysty potrafiła wcielić się w błyskotliwą formę dowcipu, anegdoty, paradoksu, i dzięki temu dla swojej zdobywczej inwazji nie potrzebowała czekać na gruntowną pracę tłumacza. Chesterton wydaje się nam człowiekiem w stylu średniowiecznym. Jest w nim jednak również coś z osiemnastowiecznych władców pióra i słowa, którzy za stołem w gwarnej oberży rzucali olśniewające koncepty mające obieć całe miasto. W angielskim XVIII wieku rozwijał się w pełnej chwale jeden z najbujniejszych i najbardziej swawolnych, a jednocześnie najbardziej intelektualnych gatunków literackich: essay. Chesterton to kontynuator tej tradycji, wielki eseaista XX wieku; cała reszta jego twórczości (powieść, poezja) to tylko marginesy. „Św. Tomasz z Akwinu“, którym niedawno uraczyło nas Wydawnictwo św. Jacka*), jest właśnie kapitalnym essayem o twórczości człowieka, którego imię oznacza epokę. Nie jest to „wie roman-cée“, nie jest to również hagiografia w tradycyjnym gatunku. Autor przechodzi co chwila od ciętego pamfletu do subtelnej i dyskretniej poezji, od dialektycznego wywodu do barwnego obrazu.

Książka rozpoczyna się i kończy wielkim obrazem. Na wstępie ogłędamy kontrastowe postaci dwóch wielkich rewolucjonistów klasycznego Średniowiecza: św. Franciszka i św. Tomasza. Szczupłe ramy tej recenzji nie pozwalają mi przepisać czarującego fragmentu, w którym pierwszy z nich porównany jest do osia wiozącego Chrystusa do Jerozolimy, a drugi do tajemniczego asyryjskiego skrzydlatego byka. Ważniejsze jest to, że zestawienie dwóch wielkich reformatorów jest dla Chestertona punktem wyjścia do podmalowania szerokiego kontekstu historycznego działalności Tomasza. Średniowieczne zakony zebrzące były ruchem nie tylko ściśle religijnym, ale również społecznym i ogólnokulturalnym. Franciszek wdziewając szatę żebraka był przedmiotem zgorszenia, tak samo gorszył św. Tomasz swoją walką o Arystotelesa, którą powierzył mu rozumny papież.

Taki obraz jest na wstępie książki. Na końcu natomiast wyrasta wielka postać Marcina Lutera, który uroczyście pali „Summę Teologiczną“ Tomasza. Księga będąca najwyższym osiągnięciem intelektualnym średniowiecznego chrześcijaństwa, miała zniknąć z oblicza czasów nowożytnych. Tak się jednak nie stało — pisze Chesterton patrząc na współczesny renesans tomizmu.

Te dwa obrazy spinają książkę niby kłammera. Jest rzeczą zrozumiałą, że Chesterton żyjąc w społeczeństwie o kulturze protestanckiej w niezwykle ostry sposób widział znaczenie Reformacji jako procesu konstytuującego w pewnym stopniu rozwój czasów nowożytnych. Problem tomizmu pada na tło kontrowersji między katolicyzmem a protestantyzmem. Zgodnie z przekonaniem Kościoła, Chesterton widzi w tomizmie kwintesencję katolicyzmu. W tym sensie jego essay o Tomaszu jest książką bojową, wzruszającą w swojej żarliwości, skromności i sile przekonania. W jakim stopniu Chesterton znał tomizm? Naj-

*) G. K. Chesterton: Św. Tomasz z Akwinu, tłum. Artur Chojecki 1949, księgarnia św. Jacka w Katowicach.

Na półkach księgarskich

Książka genialnego dyletanta

większy może dziś autorytet w tej sprawie, E. Gilson, ocenił jego książkę entuzjastycznie. Niezwykła intuicja angielskiego pisarza, dzięki której nakreślił on tak kapitalne szkice historyzoficzne w „Wieczystym człowieku“ — tu również pozwoliła mu zejść dalej niż wielu erudytom. Zresztą, wszędzie przedstawia on siebie w roli entuzjastycznego dyletanta.

Ten genialny dyletant (który nigdy nie był na żadnym uniwersytecie) pisze fascynującą książkę o przegodach myśli. Bo osobiste życie Tomasza mało w niej zajmuje miejsca, ujęte w szeregu średniowiecznych anegdot. Obcujemy za to ciągle z Tomaszem — twórcą intelektualnych podstaw średniowiecznego humanizmu. Chesterton nazywa jego działalność — Rewolucją Arystotelesowską. Warto wziąć dziś do ręki tę książkę i czytać kapitalne uwagi na temat rozwoju myśli i kultury chrześcijańskiej, na temat ortodoksji i twórczej ewolucji. Tomasz był rewolucjonistą, a jednocześnie najbardziej prawowiernym wyznawcą; czerpał pomoc od Arystotelesa po to,

aby wyzwolić chrześcijaństwo od platonizmu, aby uczynić je bardziej chrześcijańskim. „Św. Tomasz stoi po prostu przed nami jako wielki teolog prawowierny, który przypomniał ludziom o wierze w stworzenie, podczas gdy wielu z nich było jeszcze w nastroju czystego „niszczenia“. Tomasz walczył o realizm filozoficzny, o uniwersalistyczną koncepcję człowieka, o uznanie roli materii, o szacunek dla intelektu. o trudny optymizm.

Gdyby trzeba było zdecydować, który rozdział Chestertonowskiej monografii jest najlepszy, kto wie, czy nie wybrałibyśmy rozdziału o „Filozofii wieczystej“, gdzie autor dokonuje rzeczy zdumiewającej: podaje wykład głównych zasad metafizyki tomistycznej tym samym barwnym językiem anegdoty, którym opowiadał o Tomaszowej wizycie u króla Ludwika. Oto jak pisze on o realizmie poznawczym w systemie Akwinaty: „Św. Tomasz jest kimś, że tak powiemy, wiernym swojej pierwszej miłości; a była to miłość od pierwszego wejrzenia. Rozumiem przez to, że natychmiast poznawał

w rzeczach ich rzeczywistość jakoś, a potem opierał się wszystkim rozkładowym wątpliwościom powstającym z natury tych rzeczy. Oto dlaczego podkreślał od razu, od pierwszych niemal stron fakt, że u podłoża jego filozoficznego realizmu jest jakaś chrześcijańska pokora i wierność.“ — W tych zdaniach, skromnych i olśniewających, jest cały Chesterton. Niemniej świetna jest taka charakterystyka postawy św. Tomasza: „Wierzył on w życie z najmocniejszym i niewzruszonym przekonaniem... Jeżeli przypuszczamy, że chorowity intelektualista renesansowy mógł mówić: „Być albo nie być — oto jest pytanie“, to niewątpliwie masywny doktor teologii średniowiecza odpowiedziałby na to grzmącym głosem: „Być — oto jest odpowiedź“.

Spostrzegam z przerażeniem, że moje uwagi podzielał zwykły los recenzji z Chestertona i zamieniają się w wybór cytatów z Chestertona. Nic innego nie pozostaje, jak tylko odesłać czytelnika do tej czarującej książki. Dobry przekład dra Artura Chojeckiego ułatwia obcowanie z nią; ładna okładka Janiny Mroczkowskiej skutecznie ratuje jej szatę zewnętrzną. Z.K.

Pięciu zdecydowanych ludzi

Kiedy mamy parę godzin wolnych, a w perspektywie lekturę interesującej książki lub pójście do kina na wartościowy film — następuje chwila rozterka. Na co się zdecydować? Książka czy film? Proponuję coś pośredniego.

Oto opowieść Jean Laffitte'a*) o bohaterach Francuzach z Ruchu Oporu, która ma wszelkie cechy doskonałego scenariusza filmowego. Rzecz dzieje się w Paryżu w roku 1942.

Fundamenty estetyki

Pierwszą sugestią, jaką odnosi czytelnik przy lekturze tej książki*), jest niewątpliwie wrażenie jej wyjątkowej wprost fundamentalności. Dziś, kiedy teoria literatury, teoria sztuki, musi sprostać tylu zadaniom, gdy musi szybko i stanowczo odpowiedzieć na rzucane jej zewsząd nagłe pytania, dzieło prof. Ossowskiego, uderzające swą majestatyczną powagą, gruntownym opracowaniem najdrobniejszych elementów, jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym. Autor przeanalizował jak najdokładniej peryferyczne — zdawałoby się — zagadnienia („Jakości zmysłowe“, „Układy w przestrzeni lub czasie, nie oparte na stosunkach jakościowych“, „Układy barw i form przestrzennych“ itp.), dając w sumie rzetelny traktat o wszystkich niemal elementach estetyki. Jest to, naszym zdaniem, ogromna wartość książki i jej chwalebna niecodziennosc.

Z tą szczególną budową „U podstaw estetyki“ wiąże się jednak pewna kwestia, którą pragnęlibyśmy poniżej zreferować. Otóż książka prof. Ossowskiego ma charakter wyłącznie analityczny. Wszystkie cztery części („Świat kształtów, barw i dźwięków w bezpośrednich ocenach estetycznych“, „O sztukach odzwierciedlających rzeczywistość“, „Zagadnienie ekspresji“ i „U podstaw estetyki“) mistrzowsko rozkładają na najdrobniejsze czynniki obszerne przeciwieństwa. Takie, być może, było zadanie książki. Ale naszym zdaniem całkowite wyrugowanie pierwiastka syntetyzującego zaciężyło ujemnie nad wartością dzieła. Prof. Ossowski nie wysnuł wniosków z zupełnej (chciałoby się rzec „doszczętniej“) analizy zagadnienia, nie użył ani jednego uogólnienia, które wyraziłoby jego osobisty stosunek do całości zagadnienia.

Przejdźmy z kolei do kilku innych zastrzeżeń, jakie nasuwa nam tutaj recenzentka przekora. Przede

Rajmund i jego towarzysze (członkowie komunistycznej organizacji Franc-Tireurs et Partisans) przystępują do wykonania śmiałego planu wysadzenia w powietrze masztów niemieckiej radiostacji wojskowej Saint-Assise pod Paryżem. Dzięki sprawniej organizacji całego przedsięwzięcia oraz przytomności umysłu dowódcy grupy — zadanie zostaje wykonane. Zamach wywołuje wielką konsternację wśród okupanta. „Żeby zaatakować Saint

wszystkim wyrazimy jeszcze jedną uwagę ogólną. Otóż cała książka „U podstaw estetyki“ wywiera dziwne wrażenie przewagi (i merytorycznej i objętościowej) rozważań malarskich nad literackimi. Spróbujmy zarzut skonkretyzować: cały np. rozdział 116 „Dwa pojęcia ekspresji w estetyce“, którego ważności nie trzeba chyba dowodzić, nie znalazł prawie pokrycia w analizie elementów ekspresji utworu literackiego, której prof. Ossowski dokonał zresztą przy innej okazji. Skazuje to czytelnika znów na karkołomne dla wielu przemieszczanie analiz autora książki. Oba te zastrzeżenia są — naszym zdaniem — dość zasadnicze. Konstrukcja bowiem dzieła naukowego powinna narzucać czytelnikowi pewną schematyzację i uhierarchizowanie problemów.

Zastanawia również pogląd prof. Ossowskiego na kwestię tzw. „muzyki programowej“. Otóż autor książki „U podstaw estetyki“ z absolutną beznamiętnością analizuje tzw. „obrazy w muzyce“, o których niedopuszczalność z takim zapalem i słuszością wojował w „Znaku“ Stefan Kisielewski. Problem to zresztą nie nowy i wydaje nam się, iż autor kapitalnego zdania o rozumieniu muzyki („...rozumie muzykę ten, ...kto słuchając utworu muzycznego nie doznaje poczucia dezorientacji: tony wiążą mu się w różny sposób pomiędzy sobą w zorganizowane całości, każda o specjalnym charakterze i utwor przedstawia dlań organizację dźwięków“) nie powinien pominąć go tak zupełnym milczeniem. Można by się również spierać o kwestię tzw. „muzyczności poezji“, której prof. Ossowski przypisuje wcale niepoślednie stanowisko.

Nie wiemy jak nasz surowi głosiciele realizmu przyjmą rozdział 8 „Zagadnienia realizmu“, który prof. Ossowski potraktował bardzo szeroko i bardzo skomplikowanie. Ponieważ prof. Ossowski nie zastosował wcale „cesarskiego ciecicia“, rozdziałającego realizm od idealizmu, a la Stefan Morawski (Twórczość 11—1949) — dyskusja gotowa znów odbyć. W. R.

Assise — mówi Laffitte słowami jednego z bohaterów swej książki — Londyn potrzebowały dziesiątków samolotów, wielu ton bomb, a może kosztowałoby to jeszcze życie kilku cywilów. Nam wystarczyło pięciu zdecydowanych ludzi...“

Niestety skutek zdrady jednego z towarzyszy cała grupa zostaje pochwycona przez Niemców. Rajmunda jako dowódcę poddają wszelkiego rodzaju torturom, aby wydobyć zeń szczegóły zorganizowania zamachu i nazwiska innych nieuchwytnych dotąd członków Ruchu Oporu. Rajmund wytrzymuje jednak te próby ognia i nie załamuje się. W rezultacie wszyscy uczestnicy zamachu dostają się do Mauthausen, gdzie część z nich umiera, reszta wraca po wojnie do kraju. Ale powrót ten nie jest radosny. Wprawdzie Rajmunda i jego przyjaciele, Roberta, witają uszczęśliwione żony, ale odczuwają, a raczej jej powojenni przedstawiciele, witają ich bardzo ozięble. Bohaterski czyn, o którym nawet oficer Gestapo wyrażał się, że to w gruncie rzeczy dobrze pomyślana operacja wojskowa, został przypisany de gaullistom, którzy w owym czasie zdobyli się jedynie na odstąpienie materiałów wybuchowych, nie chcąc czy nie umiając odpowiednio ich wykorzystać.

Książka Laffitte'a, stojąca na pograniczu reportażu i — jak zaznaczyłem — świetnego scenariusza filmowego, ma akcję wartką, pochłaniającą czytelnika niby sensacyjny roman najlepszego gatunku, a jednocześnie nosi wszelkie cechy autentyzmu zarówno w odniesieniu do opisanych faktów, jak i do charakterystyki występujących w niej osób.

Czy to będzie Rajmund-dowódca, człowiek o niezgrabnym ciele lecz silnym duchu, czy Robert-elegant, czy też Andrzej-urzędniczyzna, czy Michał, zahukany przez żonę nauczyciel, czy wreszcie Geniek — młokos żądny przygód — wszyscy oni złączeni dla sprawy są bliscy sercu autora, który, jak wiadomo skąd inąd, również był członkiem Ruchu Oporu i znał niedoli lagrowej.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje oszczędny w słowie i pełen dynamiki dialog, który znów w nieodpartym sposób podkreśla „filmowość“ „Milczących masztów“.

Książkę Jean Laffitte'a, starannie przetłumaczoną przez H. Oledzką, można polecić zarówno zwolennikom dobrej lektury, jak i amatorom interesujących filmów.

*) Jean Laffitte — „Milczące maszty“ — powieść. Przekł. Hanna Oledzka. Państwowy Instytut Wydawniczy, strona 173.

T Y D Z I E Ń

Film

Dni filmu czechosłowackiego

Dni Filmu Czechosłowackiego (17 — 26 maja) dają wszechstronny i ciekawy przegląd najnowszych filmów czechosłowackich. Wielkie zainteresowanie wśród nie tylko najmłodszej publiczności wzbudzają słynne już na całym świecie rysunkowe i kukielkowe krótkometrażówki. Polska publiczność pozna bardzo popularną postać Pana Prokouka pozytywnego i bardzo zabawnego bohatera filmów kukielkowych Karola Zemana („Sen wigilijny“ Zemana był nagrodzony na festiwalu w Cannes w 1946). Zobaczyć kolorowe filmy rysunkowe „Anielski Strój“, „Lenora“, „Telegram“, bardzo zabawny kolorowy film kukielkowy, będący parodią amerykańskich romansów kowbojskich p. t. „Pieśń prerii“ i wreszcie nagrodzoną pierwszą nagrodą na festiwalu w Brukseli piękną kolorową bajkę o szklanych figurkach p. t. „Natchnienie“.

Filmy fabularne pokazują wszechstronny wysiłek by we wszystkich rodzajach filmowych znaleźć własny styl, aby zaspokoić zainteresowania i upodobania najszerszego kręgu społeczeństwa.

„Praga roku 1848“ — historyczna epopea, jest próbą stworzenia wielkiego stylu epickiego, który pozwoliłby na szerokie filmowe wyrażenie treści historycznych. W porównaniu z „Janem Rohaczem“ wyprodukowanym w 46 r. widać słusze przesunięcie z monumentalnego esztetycznego wywołania historii na precyzyjną analizę stosunków polityczno-społecznych, na jasny wykład historii. Współczesnymi zagadnieniami zajmują się dwa filmy reżyserii Wacława Kubaska „Dwa Ognie“ (poświęcony wydarzeniom lutowym 1948 r.) i „Pragnienie“ (film o problematyce wiejskiej).

Ciekawą próbą jest film sensacyjny „Dziś o pół do jedenastej“, przeprowadzający tezę, że przyczyny każdego przestępstwa kryją się w warunkach społecznych i ekonomicznych. Ta teza pomaga młodemu detektywowi wykryć tło przestępstwa i znaleźć zbrodniarza.

Czeską komedię reprezentuje film p. t. „Przygody referenta Triszki“, pełna humoru i akcentów satyrycznych historia przemian wewnętrznych zmęczonego biurokraty, reżyserii Józefa Macha znanego polskiej publiczności z 2 komedii: „Nikt nie wie“ i „Awantura na wsi“.

Problematyką awansu społecznego zajmuje się film Jana Kazdara p. t. „Dziewczyna ze Słowacji“.

Film dokumentalny reprezentuje wielki reportaż p. t. „Nowa Czechosłowacja“ nakręcony przez realizatorów radzieckich przy współpracy filmowców czeskich, i barwny film dokumentalny „Złot Sokołów“. „Złot Sokołów“ został odznaczony na Festiwalu w Mariańskich Łaźniach. Film reż. Jerzego Weissa (był filmowany przez 14 operatorów), pokazuje nie tylko popisy gimnastyczne, ale także przygotowania do święta, stosunek publiczności i interpretuje charakter i sens zła.

Film jest rezultatem pracy zespołowej i wielkiego wysiłku, który może określić chociażby fakt, że realizatorzy musieli z 70.000 m. taśmy zrezygnować z tego ostateczną postacią filmu.

Leszcz

KANADA CIĄGLE NIE ODDAJE!

Posel polski w Kanadzie p. Milnikiel zwrócił się do rządu RP z prośbą o odwołanie go z placówki. Jest to swoisty protest przeciw dalszemu przetrzymywaniu przez Kanadę naszych skarbów z Wawelu i Zamku Warszawskiego (Arrasów, Szczerbca, rękopisów Chopina). Mimo stołowej uchwały UNESCO, mimo stałej akcji rządu polskiego, mimo niezliczonych już w tej sprawie interwencji i starań, mimo — jednolitej opinii wszystkich Polaków — rząd Kanady nadal bezprawnie przetrzymuje nasze obiekty kulturalne, tłumacząc się, iż nie jest w możności wpłynąć na gubernatora prowincji Quebec, p. Duplessisa, a nasze skarby jakoby są w jego posiadaniu. Tłumaczenie to zakrawa na kpiny i chyba precyzyjniejszego słowa, jak powyżej użyte trudno zastosować.

Przypomina się w tym względzie stanowisko Anglików, którzy — jedyni spośród czterech okupantów Niemiec nie wpuścili po wojnie na teren swej strefy okupacyjnej polskiej misji rewindykującej dobra kulturalne, mimo, że przedstawiono Anglikom dowody, iż pod Hamburgiem znajdowały się jeszcze w 1947 r. dzieła sztuki wywiezione z Polski. Warto znać to stanowisko rządów Imperium Brytyjskiego.

DZIENNIK MŁODZIEŻOWY

Od 1 maja ukazują się pierwszy w Polsce, a jeden z dwóch lub trzech na świecie („Prawda Komsmolska“ w Moskwie) dziennik przeznaczony specjalnie dla młodzieży, wydawany przez ZMP, p. t. „Sztandar Młodych“.

WSPÓLPRACA

KULTURALNA Z ZSRR

Do Moskwy wyjechała kilkunastoposobowa grupa uczonych (filozofów, historyków, socjologów) polskich, marksistów, na kilkotygodniowy po-

byt, celem nawiązania szerszej współpracy naukowej z uczonymi radzieckimi.

W Moskwie ukazał się w nakładzie 30 tys. egz. przekład rosyjski „Kryżaków“ H. Sienkiewicza.

Ostatnio odbywała po Polsce tournée grupa artystów radzieckich: śpiewaczka — Kazancewa i Borysenko, śpiewak — Patorżyński, pianista — Lew Oborin i Makarow, skrzypek — I. Betrodnaj.

PLASTYKA

We Wrocławiu otwarta została jubileuszowa wystawa obrazów Vlastimila Hoffmana, w związku z 45-leciem jego pracy plastycznej. Twórczość Hoffmana, daleka od założeń realizmu, jest kontynuacją młodopolskich — dziś już bardzo trudnych do zaakceptowania przez współczesnego widza — tradycji Malczewskiego.

W Warszawie w Muzeum Narodowym otwarto wystawy: reprodukcji współczesnego malarstwa radzieckiego oraz sztuki chińskiej.

KONFERENCJE

W dalszym ciągu odbywają się konferencje naukowe w ramach poszczególnych dyscyplin, poprzedzające Kongres Nauki mający obradować na jesieni. Po konferencji ogólnopolskiej geologów, polonistów 12 i 13 maja obradowała w Warszawie konferencja pedagogów.

Ostatnio miały miejsce dwie ogólnokrajowe konferencje nauczycielskie: kierowników liceów i inspektorów szkolnych. Na obu referat zasadniczy wygłosił min. Skrzyszewski.

POKLOŚIE KONKURSU TEATRALNEGO

O ile konkurs na nowelę filmową nie przyniósł specjalnych korzyści

Studium przekładowe Penclubu

Na 4-tym wykładzie Studium Przekładowego Penclubu mówił G. Karwicki o „Kłopotach tłumacza“. Prelegent, laureat nagrody tłumaczy Penclub, oparł swój wykład na wiedzy, zdobytej doświadczeniem. Za najcenniejszą pochwałę tłumaczenia uważa, gdy się je czyta jak oryginał. Do tego konieczna prostota i naturalność. Doskonałe odtworzenie treści przy równoczesnym zachowaniu stylu oryginału — to najważniejsze postulaty dobrego tłumaczenia. Po sprecyzowaniu tych podstawowych zasad, przedstawił prelegent cały szereg trudności i kłopotów, na które napotyka tłumacz.

Już sam tytuł jest zagadnieniem niełatwym, bo zwykle podaje syn-tezę dzieła. Należy wczuć się w klimat utworu, aby trafnie oddać w tytule myśl autora. Dosłowne tłumaczenie, daje często absurd. Zaleca się w tym wypadku użycie „złotego środka“, który pozwala ograniczyć dosłowność, dając pole pewnej swobodzie.

Zaimki osobowe, to inna znów dziedzina trudności, która następuje się przy utworach beletrystycznych. Pan, ty, czy wy, to sprawa trafnego wyczuć, wynikającego ze zrozumienia oryginału. Prelegent odsyła w tej kwestii do studiów specjalnych nad tym zagadnieniem, które były umieszczone w „Języku Polskim“, pióra Prof. Nitscha i Wojtasiewicza.

Nową trudność i kłopot sprawiają tłumaczowi wyrażenia w dwuznacznym znaczeniu. Ale również ich odwrotność stanowi pułapkę. Zbieżności poetyckie są również niełatwe

do oddania w przekładzie. W tym wypadku należy szukać raczej treściowych, a nie fonetycznych powiązań.

Jednym z najważniejszych postulatów jest doskonała znajomość realiów. Tu tłumacz musi być encyklopedią, także staranna korekta i pomoc umiętnej adiustatora grają ważną rolę. Należy unikać fotograficznej wierności, która daje często niedorzeczności i wykoślawia język oryginału.

Dwuznaczniki i t. zw. „sozyste“ wyrażenia są często nie do przetłumaczenia. Teksty tłumaczy Boya-Zeleńskiego mogą w tym wypadku służyć za doskonały wzór.

Poszczególne tezy wykładu ilustrowane były przez prelegenta charakterystycznymi przykładami, zaczerpniętymi ze znanych przekładów. Treść wykładu ujęta w pewien rodzaj „katechizmu tłumacza“ obejmuje następujące zasady: tłumacz powinien pracować powoli, robota pośpieszna, na oznaczony termin, daje fatalne rezultaty. Stosować umiar w kolorycie, w stylizacji. Szczególnie gdy idzie o używanie staropolskich wyrazów. Tłumaczyć tylko z jednego języka, bo już ten jeden następuje wystarczająco wielkie trudności i wymaga doskonałej jego znajomości. Dobry tłumacz powinien posiadać literackie zdolności. Uczciwość i sumiennosc, obok wymienionych postulatów, oraz możliwie największy wysiłek dobrej woli — to warunki, obowiązujące odpowiedzialnego tłumacza.

K r o

jego organizatorom, o tyle o wynikach konkursu zamkniętego na współczesną sztukę teatralną krążą zasadniczo pocieszające wiadomości. Z czterdziestu kilku nadesłanych sztuk podobno jedna czwarta zasługuje na wystawienie. Niestety — są to wszystko plotki, „podobno“, gdyż jury ma rezultaty swej pracy ogłosić dopiero jesienią, równocześnie z zapowiedzianym festiwalem polskich sztuk współczesnych. To będzie interesująca ze wszechmiar impreza!

18 MAJA

Osiemnastego maja obchodzono rocznicę 40-lecia śmierci Elizy Orzeszkowej. Fakt ten w prasie nie został nawet zauważony. Pisma literackie — bijemy się w piersi, gdyż my również — nie poświęciły Orzeszkowej ani jednego artykułu. Jakby równocześnie ta wielka pisarka nie przeżywała swego literackiego renesansu. Przecież nie kto inny, ale właśnie Orzeszkowa, „pisarka społeczna“ jest tą, której wszystkie pisma, dziś się wydaje w 60 tomach, której przerobione na scenę utwory grywane są stale w świetlicowych teatrzykach, której książki są tak szeroko czytane. Rocznicę śmierci uczciło jak dotąd tylko Warszawskie Towarzystwo Naukowe, którego Gabinet Filologiczny urządził wystawę rękopisów utworów wyda-

nych i niedrukowanych, pierwodruków i dalszych wydań poszczególnych powieści Orzeszkowej. Są to cenne materiały t. zw. „Archiwum Orzeszkowej“, będące częścią warszawskiego „Korbiutianum“.

„BANDERA NA TRAP“

Robotnik portowy w Szczecinie Stanisław Dauksza, syn małorolnego chłopca, pracujący w porcie szczeecińskim od 1945 r. napisał sztukę z życia robotników portowych p. t. „Bandera na trap“. Sztukę to wystawia „Teatr Współczesny“ w Szczecinie. Jest to pierwszy w historii polskiej dramaturgii wypadek napisania i wystawienia sztuki teatralnej przez autentycznego robotnika, ciągle pracującego w swym zawodzie, sztuki z własnego środowiska. Dauksza zachęcony powodzeniem pierwszej pisze sztukę następną, również z życia szczeecińskiego portu.

Równocześnie ujawnił się w Warszawie inny nadzwyczaj ciekawy zespół literacki. Sześciu robotników pracujących przy odbudowie warszawskiej „Starówki“ zorganizowało pod kierunkiem młodej pisarki Grażyny Woysznis zespół pisarski, który ogłosił już jedno opowiadanie, właśnie z życia zespołów pracujących na Starówce. Dalsze opowiadania są na warsztacie.

TEATR

Pierwsza

Na konferencji prasowej zamykającej poznański Festiwal Wyższych Szkoł Artystycznych (koniec ub. r.) wynikła krótka, ale dość jędrna dyskusja na temat repertuaru teatrów typu warszawskiej „Syreny“. Ktoś z uczestników dyskusji bardzo ostro ocenił ostatnie programy „Syreny“ — wówczas, pełen optymizmu w stosunku do przyszłości rzecznik Min. Kultury i Sztuki, potwierdzając w pełni słuszność zarzutów wysuniętych przez dyskutanta wyraził przypuszczenie, iż „Syrena“ naprawi swe błędy i że nastąpi pozytywny przełom w historii tego teatru.

„Wodewil warszawski“, ostatnia premiera „Syreny“ potwierdza tamtą tezę. Zrobiony został krok naprzód. Jeśli ta linia rozwojowa pięć się będzie w górę, nie będziemy wspominać kierownictwu tej sceny „Panów z milionami“ i innych dotychczasowych potknięć.

„Wodewil warszawski“, spektakl z tekstem i muzyką Gozdawy i Stepni stanowi świadomą próbą stworzenia widowiska nowego typu, widowiska, które dając uczestnikom pogodną, radosną, lekką rozrywkę, nie zaniedba swego obowiązku wychowawczego. Jak na pierwszą tego rodzaju próbę spektakl należy uznać za udany.

Sukcesem „Syreny“ jest ujawniona chęć oderwania się od tradycji dawnych programów, od tradycji spektakli w miarę kultuńskich, w miarę snobistycznych.

Sukcesem „Syreny“ jest niewątpliwe zwycięstwo nad tą częścią widowni, która nie wierzyła, iż na spektaklu, w którym mowa o przekraczaniu norm w budownictwie, o racjonalizatorstwie, można się będzie

znakomicie bawić, w dobrym tego słowa znaczeniu.

„Wodewil warszawski“ obnażył jednak pełnię niebezpieczeństw czyhać na twórców repertuaru tego typu. Dlatego ostatnią premierę „Syreny“ uznać można za lekcję pogładową. Wnikliwa analiza wskaże wszystkie trudności, wskazuje czego trzeba unikać.

Pierwszy kłopot polega na tym, że łatwo tu, o dość istotny konflikt z pojęciem realizmu. W czasie trwania spektaklu przypomniał mi się ni stąd ni zowąd jeden z obrazów oglądanych niedawno na I Ogólnopolskiej Wystawie Plastyków. Obraz ten nosi tytuł: „Podaj cegle“. Przyglądałem się przedstawionej na płótnie scenie dość długo i (mimo nagrodzenia pracy) odszedłem od niej nieprzekonany. Ta ręka wysunięta w przestrzeń, ręka czekająca na cegłę, której nie widać, to dawne marnotrawstwo czasu w murarce, to epoka przed Krajewskim, Franaszkiem, Czapką i innymi.

„Wodewil warszawski“ miał pogłębić nasze uczucia szacunku dla trudnej i owocnej pracy murarza. Słuchając wskazań teoretyków, autorzy pokazują nam swoich bohaterów budowniczych nowej Warszawy przy pracy. Cóż z tego, kiedy na m swoim rusztowaniu robią oni wszystko: śpiewają, tańczą, kochają się, tylko nie pracują, nie murują. Konflikt dość istotny. Bo przecież i tak źle i tak niedobrze. Źle, gdyby ta praca miała pozostać za kulisami, niedobrze, gdy są pokazane wszystkie jej akcesoria, a nie ma jej samej.

Murarz na rusztowaniu powinien pracować, a z drugiej strony kome-

KULTURALNY

nik a

Oba te ewenementy literackie są dowodem jak w sprzyjających warunkach zewnętrznych ujawniają się ciekawe talenty. Jest to jeszcze jedna forma awansu społecznego. Jeżeli nawet próba kolektywnego pisanie (chyba po raz pierwszy w dziejach światowej literatury — sześciu autorów równocześnie pisze to samo opowiadanie!) nie da artystycznie ważkich rezultatów, — to jednak niewątpliwie któryś z autorów napewno okaże się materiałem na pisarza zawodowego, a przytem jak poważny szmat pracy kulturalnej wśród robotników zostanie w ten sposób odrobiony. To wielka rzecz!

PRASA POLSKA W 1950 R.

W tej chwili funkcjonuje w Polsce 290 wydawców czasopism. Są to związki zawodowe, organizacje społeczne, stowarzyszenia naukowe, instytucje przemysłowe — jedynie mała część zajmuje się wyłącznie i głównie wydawaniem pism, z tego dwa największe zespoły wydawnicze to „Czytelnik” i „Prasa”. W roku 1949 na 1.000 mieszkańców przypadało 159 egzemplarzy pisma rocznie. W r. 1950 wzrosła ta ilość do 184 egzemplarzy rocznie na 1.000 mieszkańców. Cyfra ta dotyczy tylko gazet. Jest ona o wiele wyższa niż analogiczna przedwojenna, lecz jeszcze mamy długą drogę do stanu idealnego, który przyjmując jedną gazetę na rodzinę powinien wynosić około 300 egzemplarzy rocznie.

Dzienny nakład gazet wzrósł o 700.000 egzemplarzy. Oznacza to, iż jednorazowy nakład dzienników i czasopism ukazujących się 2 i 3 razy w tygodniu przekroczył 4,5 miliona egzemplarzy. Jest to wzrost o 18% w stosunku do roku ubiegłego.

Równie poważnie wzrosły czasopisma — o 36%. Globalny ich nakład sięga 6 milionów egzemplarzy.

Dla porównania kilka cyfr, przedwojennych i obecnych. Jednorazowy nakład dzienników przed wojną — 900.000, obecnie 4.200.000. Nakład największego IKC-a był sześciokrotnie niższy od nakładu katowickiej „Trybuny Robotniczej”. Przedwojenny dwutygodnik „Moja Przyjaciółka” miał nakład 100.000, obecnie „Przyjaciółka” w dwóch mutacjach wiejskiej i miejskiej osiągnęła 1.800.000 nakładu tygodniowego. Przedwojenny miesięcznik popularno-naukowy „Wiedza i Życie” miał około 10.000 nakładu. Obecnie filozoficzna „Myśl Współczesna” bije 12.000, a popularno-naukowe „Problemy” — 180.000.

Nakład wiejskiej „Gromady” — 1.300.000 — dwa razy w tygodniu, nie posiada żadnego przedwojennego odpowiednika ani konkurenta.

NOWA SERIA KUK

W II serii wydawnictw KUK ukazują się w trzecim i czwartym kwartale 1950 r. około 58 książek. M. in.

z dzieł klasyków polskich: „Pan Tadeusz” Mickiewicza z ilustracjami Andriollego. „Wybór pism” Słowackiego, „Wybór nowel i poezji” Kopnickiej, „Wybór nowel” Orzeszkowej, Prusa, Żeromskiego, oraz kilka powieści Orzeszkowej. Ze współczesnej literatury polskiej wydane zostaną: „Ziemia w jarzmie” Wasilewskiej, „W Grzmiecie” Kowalskiego, „Wybór nowel” A. Rudnickiego, „Kordian i cham” Kruczkowskiego. „Nr 16 produkuje” Wilczka i „Wybór poezji” Broniewskiego. Z klasyków rosyjskich ukazały się dzieła: Puszkina, Gorkiego, Turgieniewa; ze współczesnej literatury radzieckiej książki: Erenburga, Niekrasowa, Makarenki, Wirty, Fadiejewa, Polewoja, Krymowa. Literaturę obcą reprezentować będą dzieła: Fausta, Nexö, Olbrachta, Sinclaira, France’a, Amado. Poza tym ukazały się w ramach KUK-u książki dla młodzieży.

ONOMASTYKON ŚLĄSKI

Pierwszy onomastykon śląski — słownik nazwisk ludności rdzennej, zamieszkałej od dawna na obszarze Śląska — przygotowuje na obchód tysiąclecia Państwa Polskiego zespół naukowy przy katedrze filologii polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego pod kierunkiem prof. Rosponda. Nazwiska wypisywane są z poniemieckich ksiąg aktów cywilnych i innych dokumentów tego typu. Do-

tychczas zgromadzono już około 100.000 nazwisk.

MUZEUUM ASNYKA

Adamowi Asnykowi poświęcona zostanie jedna z sal Muzeum Ziemi Kaliskiej. W sali tej zgromadzone będą wszystkie pamiątki po urodzonym w Kaliszu poecie, jakie mieszczą się obecnie w muzeach Warszawy, Krakowa i Poznania. Kalisz posiadał dotąd wiele pamiątek po Asnyku, m. in. pierwszy wiersz napisany przez 11-letniego poetę.

MONOGRAFIA O GOETHEM

Uroczystości dwóchsetnej rocznicy urodzin Goethego przyniosły kilka ciekawych artykułów w naszej prasie. Ostatnio ukazała się nakładem wydawnictwa Stanisława Cukrowskiego pierwsza u nas po wojnie publikacja, poświęcona wielkiemu niemieckiemu poecie p. t. „Goethe” — „La vie de Goethe”.

Autorem jej jest Jean Marie Carré, profesor Uniwersytetu w Lyonie, a ostatnio w Sorbonie, autor wielu studiów i prac literackich.

Warto wspomnieć, że autor bawił u nas w kraju w r. 1926.

Książka wydana była we Francji w 1927 roku, a ostatnio została przetłumaczona na język polski przez Jerzego Gawrońskiego.

Nie jest to monografia naukowa, ale raczej wie romancem, zbeletryzowany życiorys niemieckiego poety, napisany lekko, barwnie i ciekawie.

Widać, że autor świetnie opanował cały materiał biograficzny, wczuł się w atmosferę czasu i środowiska wielkiego poety, herolda postępu i apostoła wolności.

Pierwszy numer „Muzyki”

Znaczne zmiany zaszły ostatnio w geografii polskich czasopism muzycznych. Przeszedł się ukazywać „Ruch Muzyczny”. Jego miejsce zajął nowy miesięcznik „Muzyka” wydawany przez Państwowy Instytut Sztuki w Warszawie.

„Muzyka” czytamy w deklaracji Zespołu Redakcyjnego miesięcznika — ma być pismem nie tylko dla kół ściśle muzycznych, ale również i dla tych wszystkich, którym sprawy muzyki nie są obce, obojętne, którzy interesują się bądź zagadnieniami organizacji życia muzycznego, czy szkolnictwa, bądź sprawami twórczości czy też pracy odtwórczej.

Oczywiście charakter miesięcznika i określenie dość szerokiej bazy czytelniczej nie może w żadnym wypadku prowadzić do jakiegokolwiek prymitywizacji. Nowy miesięcznik stawia sobie również wysokie zadanie bardziej wszechstronne i szerszego niż to miało miejsce dotychczas traktowania działów: operowego, baletowego, muzyki popularnej, wreszcie prowadzenia przeglądów prasy muzycznej krajowej i zagranicznej.

Nie ograniczy się jednak do roli pisma o charakterze wyłącznie informacyjnym, lecz ma „odpowiadać wielkiemu nurtowi przemian, jakie dokonują się w naszym życiu kulturalnym”. Wreszcie celem zespołu redakcyjnego „Muzyki” ma być umiejętne powiązanie fachowej, na wysokim poziomie utrzymanej treści z możliwie przystępną, popularyzatorską formą, co jasno wskazuje na adres społeczny pisma.

Pierwszy, kwietniowy numer miesięcznika muzycznego przynosi różnorodny materiał. Dr Zofia Lissa w obszernym artykule zatytułowanym „Raz jeszcze o polską pieśń masową” wskazuje na bogactwo odmian i charakter tego gatunku twórczości muzycznej w Związku Radzieckim, w Czechosłowacji i na Węgrzech.

U nas odczuwa się brak skoordynowania w tej dziedzinie. Autorka wysuwa propozycje stworzenia „jakiejś centralnej komórki organizacyjnej, obejmującej odpowiednie ośrodki działalności Związku Kompozytorów Polskich i Związku Literatów Polskich” oraz stara się uwytklić społeczne zadanie tego gatunku muzycznego, który ma „nie tylko aktualizować od strony treściowej repertuar naszych zespołów amatorskich lecz również „ma wychowywać, podciągać nowego słuchacza, dając mu w łatwej formie i małych dawkach pewne problemy techniki muzycznej do słuchowego rozwiązywania”.

Witold Rudziński w artykule zatytułowanym „Lekcja słuchania muzyki” omawia szeroko działające formy popularyzacji kultury muzycznej, jakimi są lekcje słuchania muzyki.

Dwa artykuły zamieszcza Zygmunt Mycielski: „O kierowaniu inwencją albo ars longa — vita brevis”, oraz „Tadeusz Ochlewski laureatem nagrody Związku Kompozytorów Polskich”.

Stanisław Szpinalski dzieli się z czytelnikami swoimi impresjami, jakie przywiózł z podróży do Węgier. Piotr Rytel daje krótki szkic twórczości i życia Reinholda Gliery, znakomitego kompozytora radzieckiego z okazji 75-tej rocznicy jego urodzin. T. Panufnik omawia „Lutnictwo polskie”, Witold Wirpsza pisze o „Almanachu Chopinowskim”.

Treści numeru dopełniają „Zespoły orkiestralne” w opracowaniu F. Wróbla, przegląd prasy muzycznej radzieckiej i polskiej. Plan wydawniczy Państwowego Wydawnictwa Muzycznego, oraz tchnące duchem starej tradycji „Rozmaitości z przeszłości” wybrane przez Tadeusza Ochlewskiego.

pr ó b a

dia muzyczna wysuwa swoje dezyderaty: akcja, piosenka, nawet taniec. Wybrnąć z tego nie łatwo. I jeszcze, dla przykładu, z innej strony zajrzyjmy pod podszewkę fabuły „Wodewilu warszawskiego”.

Robert kradnie wynalazek Felka. Cała postać złodziejzaska pokazana jest w ten sposób, iż nie mamy żadnych wątpliwości co do intencji tego czynu. Nie idzie tu tylko o rywalizację na terenie miłości. Kradzież ma podłoże głębsze, jest zwykłym sabotażem. Przedfinałowa scena wodewilu załatwia ten problem w sposób przypominający nam „Zemsta” Fredry, scenę, w której na zlecenie reagenta Milczka służba „pomaga” Papkinowi zejść ze schodów. Rzecz jasna, iż wprowadzeni milicji jako czynnika decydującego w tej sprawie kolidowałoby z atmosferą wodewilu, a z drugiej strony jasne jest, iż tylko tak należało problem Roberta rozstrzygnąć. I znowu sytuacja trudna do rozwiązania.

Powie ktoś, iż ta analiza to rozczarowanie włoska na czworo, to zbyt wielkie wymagania stawiane reżyserowi lżejszego typu. Nie mam zamiaru namawiać autorów do czynienia jakichkolwiek zmian. Wydaje mi się jednak, iż trzeba o tych trudnościach (nie nazywam ich niedociągnięciami) mówić. Trzeba bowiem ustalić jakieś granice między prawdą, a wymogami typu widowiska, granicą w której swobodnie może się poruszać twórca, by nie narazić się na zarzut fałszowania rzeczywistości, a jednocześnie, by przez zbyt kurczowe trzymanie się realiów życia nie rezygnował z praw przysługujących wodewilowi, komedii mu-

zycznej, rewii. I w tym znaczeniu „Wodewil warszawski” winien być przeanalizowany bardzo skrupulatnie.

Autorzy „Wodewilu warszawskiego” nie zapomnieli o jednym z podstawowych swoich obowiązków, o przyprawieniu spektaklu szczyptą satyry. Szkoda tylko, że ostrze tej satyry skierowali przeciwko sprawie już ogranej, przeciw tym bolączkom, które (dość niesprawiedliwie) swoją skórę nadstawiają za wszystkich winnych. Tak się jakoś nieszczęśliwie utarło, że jeśli mowa o satyrze, to automatycznie nasuwają się na myśl: telefony warszawskie, tramwaje, kolejki przed sklepami (pp. Gozdawa i Stępień zapomnieli jeszcze o Filmie Polskim). Czy tylko te sprawy zasługują na satyryczne ujęcie? Dlaczego zdecydowaliśmy się tak bardzo zubożyć ten piękny, potrzebny, twórczy rodzaj literacki i sceniczny? Warto by rozszerzyć horyzonty „Syreny” i „Szpilek”.

Reżyseria „Wodewilu” (Kazimierz Pawłowski) sprawna, ale nieco stereotypowa. Brak śmielszych chwytów, a (tekst na to wskazuje) okazja nadarza się nie jedna. Z wykonawców wyróżnić trzeba Helenę Buczyńską (ciocia Madzia), Irenę Malkiewicz (Zosia), Barbarę Fijewską (Hela), Igora Suratowskiego (Karłowicz) i Wacława Jankowskiego (mimo przesadnej nieco ponurości (Felek)). Tak zwane „tańce” bardzo słabutkie. Zespół statystujący żenował widownię znakomicie.

Mar.

Film

„Dwa ognie”

„Dwa ognie” film prod. czechosłowackiej. Scenariusz: Bogumił Stepanek, reżyseria: Wacław Kubasek, zdjęcia: Józef Strzecha, muzyka: Jerzy Strnks.

Akcja filmu rozpoczyna się na przełomie 1947 i 1948 r. Miejsce akcji jest właściwie tylko cegielnia, kilka epizodów jest przeniesionych do małego miasteczka.

Tematem filmu jest konflikt między robotnikami cegielni i właścicielem. Akcja filmu rejestruje w porządku chronologicznym wydarzenia pokazując zarówno ów konflikt między fabrykantem i świadomie prowadzącymi walkę robotnikami jak i różnice, które dzielą pracowników cegielni, różnice wynikające z różnego stopnia uświadomienia polityczno-społecznego. Fabularny główny wątek filmu szkicuje historię robotnika, który łamie solidarność z towarzyszami pracy, traci zaufanie i pozycję w swoim środowisku, kierowany czynnikami ambicioznych nie umie się zdobyć na jednoznaczną krytykę własnego postępowania i wreszcie pod wpływem ojca i przewodniczącego rady zakładowej przewycięża swoje załamanie i odzyskuje zaufanie kolegów.

Wydaje się słuszne, że scenarzysta zdecydował się na podjęcie trudnej problematyki rejestrowania zjawisk współczesnych, że powlazał ściśle problematykę z obrazem pracy i to ujęcie w słuszny realistyczny sposób. Epizody pracy mają wymowę niemal reportażową, są związane naturalnie z akcją i stanowią najlepsze partie filmu. Najpoważniejszym brakiem scenariusza jest to, że pokazane konflikty słuszne w proporcjach i schemacie zostały wyrażone z jednej strony w bardzo uproszczonym schemacie fabularnym, a z drugiej strony dość przypadkowo i szablonowo uzasadnione konkretnymi przeżyciami ludzi zaangażowanych w te konflikty. Film mimo cech autentyzmu osiągniętych kowo dokumentując się życiem i działaniem przez wprowadzenie realii pracy, maszyn, cegielni wydaje się wychodzić od problemu, który przypadkiem albo są budowane na chwilowych jednostkowych załamaniach, albo na łatwej do zdemaskowania głupocie człowieka, jest dość jaskrawym uproszczeniem zagadnienia. Film demaskuje rzeczy dawno zdemaskowane i w tej chwili właściwie otwiera już drzwi otwarte. Jest zbyt schematyczny i za powierzchownie odtwarza wydarzenia momentu historycznego aby mieć wartość dokumentu. Rejestruje jedynie problem, ale go ani nie pogłębia, ani wydaje się, właściwie nie oświetla. Zaletą filmu jest wypracowanie pewnego stylu ujęcia dokumentarno-opisowego pokazywanych zdarzeń. Błędy wydają się jedynie błędami scenariusza, natomiast ujęcie reżyserskie, interpretacja aktorska, prostota zdjęć i staranny płynny montaż wpływają na to, że „Dwa ognie” na pewno są osiągnięciem w pracy nad znalezieniem filmowej metody mówienia o współczesności.

Leszcz

Czytajcie

„SŁOWO Powszechnie”

Raw.

Co pisać inni...

Jedną z cech myśli europejskiej jest wielkie zainteresowanie dla filozofii historii. Ta cecha jest znamieną tak dla św. Augustyna, jak i dla Marksa. Marksistowską filozofią historii jest materializm historyczny. Jednocześnie coraz nowe dzieła myślicieli katolickich lub bliższych katolicyzmowi dążą do ujęcia sensu historii. Jean Danielou zwrócił uwagę, że współczesna myśl chrześcijańska zawdzięcza ukucie kategorii podstawowych dla pojęcia historii: pierwsza z nich dotyczy ważnych wydarzeń („evolucja twórcza” teologicznego dramatu ludzkości), druga zaś kategoria jest pojęciem postępu; w ten sposób rozbity został zamknięty krąg cyklicznej i katastroficznej historiozologii greckiej.

Uniwersalizm katolicki każe uwzględniać różnorakie płaszczyzny życia ludzkiego. Dlatego właśnie nie można myśleć o zbudowaniu ostatecznej, raz na zawsze ustalonej historiozologii. Można tylko dążyć do coraz większego zbliżania się ku istotnym źródłom i istotnemu sensowi historycznego rozwoju. Zrozumienie tego rozwoju na tle zasadniczej niezmienności natury ludzkiej — jest właśnie kluczowym problemem filozofii historii. „Człowiek czasowy i wieczny” to tytuł artykułu ks. Józefa Pastuszki w kwietniowym numerze „Przeglądu Powszechnego”. „Historyzacja człowieka — pisze autor — a więc rozpatrywanie go pod kątem wyłącznie jego czasowych, względnych właściwości, choćby najbardziej charakterystycznych, rzucających dużo światła na jego osobowość nie doprowadzi do pełnego zrozumienia człowieka, podobnie jak chybi celu zajmowanie się jedynie abstrakcyjną ideą człowieka, z pominięciem jego czasowych, zmiennych a przecież bardzo ludzkich momentów”.

Punktem wyjścia dla rozważań nad zmiennością człowieka jest zrozumienie współzależności ducha i ciała ludzkiego. Dzięki tej zależności, przemiany materialnych form bytowania wpływają w dużym stopniu na życie psychiczne człowieka. Zrozumienie procesu powstawania pojęć ludzkich, u których źródeł leży materiał empiryczny, materiał dostarczany przez zmysły, — mówi nam, w jak dużym stopniu nawet życie umysłowe człowieka zależy od kontekstu historycznego. „Nie znaczy to jednak — pisze ks. Pastuszka — by jedynie warunki gospodarcze były czynnikiem zmiany i postępu. Ciągłe bowiem wkracza twórczy duch ludzki, który w różny sposób reaguje na podniecy, przetrwawia je i wykrywa w nich nowe momenty, które w dalszym rozwoju okazują się twórcze. W ciągu dzieł powstawały niejednokrotnie nowe idee i prądy umysłowe, nie znajdujące wytłumaczenia w warunkach gospodarczych, a które wywarły wielki wpływ na rozwój kulturalny ludzkości.”

W jakim stopniu człowiek oddziałuje na warunki ekonomiczne, a w jakim jest od nich zależny? To zagadnienie leży u podstaw monumentalnego dzieła współczesnego historyka angielskiego, A. J. Toynbee, pt. „A Study of History”, o którym niedawno informował czytelników polskich „Tygodnik Powszechny” (nr 254) w obszernym artykule Alojzego Delno: „W poszukiwaniu sensu historii”. „Toynbee znajduje odpowiedź na dręczące go pytania (co do źródeł różnorodnego rozwoju cywili-

zacji) w odmiennej reakcji na przeciwności. Fakt odmiennej postawy ludzkiej wobec „docisków Bożych” — st zdaniem angielskiego historiozofa — tym ostatecznym twórczym czynnikiem przebiegu dziejów, do którego dotrzeć możemy, zjawiskiem pierwotnym, wyjaśniającym inne...” Tak naprzykład rozpatruje Toynbee zagadnienie postępu technicznego i „bierze pod uwagę niewątpliwy fakt, że jedni, przyciśnięci potrzebą, czynią wynalazki, a drudzy znoszą biernie klęski, nawet powodujące głodowanie, choćby przyszło utratą życia płacić za bierność”. Dlatego właśnie angielski historyk „tłumaczy narodziny cywilizacji psychologiczną reakcją jednostek na złą dolę”, na przeciwności, które „mogą być naskikiem albo otoczenia przyrodniczego, albo wywodzącym się z konfliktów społecznych”.

Powróćmy teraz do artykułu ks. Pastuszki. Nakreśliwszy zarys ewolucji człowieka i kultury ludzkiej, zwraca on uwagę na „momenty trwałe, ponadczasowe, które uprawniają nas do mówienia o „człowieku wiecznym”. Oprócz tego, że „pod względem cielesnym człowiek zawsze reprezentował ten sam typ gatunkowy”, — istnieją o wiele ważniejsze stałe elementy dotyczące

ludzkiej postawy wobec życia, ludzkich dążeń i uzdolnień. Chodzi tu przede wszystkim o to, co ks. Pastuszka nazywa „prometeizmem człowieka”: ciągłe tworzenie coraz to nowych wartości, niestający postęp naprzód (Pascalowe: „L'homme infiniment depasse l'homme”). „W kalejdoskopie wydarzeń dziejowych i wytworzonych wartości kulturalnych wyczuwa się pewne stałe nity, stanowiące o ciągłości wysiłku twórczego i o wieczności człowieka. Są nimi: dziedzina myślenia i woli, życie moralne i religijne”. Tak więc dostrzegamy, że „te same prawa myślenia rządzą ludźmi wszystkich czasów... Źródłowe, obszerne monografie Cathveina i Schmidta o jedności i powszechności sumienia moralnego ludzkości wskazują, że najdawniejsze przepisy moralne są w swej istocie uderzająco podobne do dzisiejszych”. Również w dziedzinie religii pogańskich „wielość form, różnorodność wyrazu przesłania tylko momenty istotne, niezmiennie”.

Kulturotwórcza rola religii jest głęboko analizowana przez tego historyka, którego uważa się za kontynuatora dzieła Chesterton'a i Maritain'a, — Christopher Dawson. Dobrze się stało, że „Znak” w nr 19 zapoznał czytelników z jednym roz-

działem jego książki „Religion and Progress” pt. „U podłoża kultury”. Dawson wskazuje na twórczą rolę wyobrażeń religijnych człowieka pierwotnego i daje nową podbudowę naukę o do twierdzenia Durkheima: „Z chwilą gdy człowiek wpadnie na pomysł, że istnieją jakieś wewnętrzne związki między rzeczami, nauka i filozofia stają się możliwe. Religia otwiera dla nich drogę”. „U podłoża każdej cywilizacji istnieje jakaś wizja — pisze Dawson — wizja mogąca być nieświadomym owocem wieków wspólnej myśli i wspólnego działania, lub która mogła wziąć swój początek z nagłego objawienia jakiegoś wielkiego proroka czy myśliciela. Przeżył Mahometa, który w jaskini na górze Hira pojął, że żywot ludzki jest przemijający jak trzepot skrzydła komara w porównaniu ze wspaniałością i potęgą Boskiej Jedności, ukształtowało byt ogromnego odłamu ludzkiej rasy...”

Ta jedność dążeń religijnych, którą obserwujemy pod zmiennymi, często wypaczonymi formami w religiach pogańskich, nabiera nowego sensu w dziejach Kościoła Katolickiego. O „Tajemnicy jedności katolickiej” w tymże (kwietniowym) numerze „Przeglądu Powszechnego” pisze O. Jan Rostworowski. Nasze czasy wielkich przemian dziejowych skłaniają do historiozoficznej analizy dziejów Kościoła, który nie jeden

już raz musiał się przenosić ze starożytności do nowego świata. Jak wythumaczyć tę zdumiewającą (bynajmniej nie statyczną, ale dynamiczną) jedność i czystość rozwoju, dzięki którym Kościół jako zjawisko historyczne jest dla badacza zjawiskiem w swoim rodzaju jedynym, nie dającym się do niczego porównać? „W czysto zewnętrznych przymiotach i siłach Kościoła odpowiedzi na to pytanie znaleźć nie podobna — pisze O. Rostworowski. — Taka jedność, jaką przez dziewiętnaście wieków zachował katolicyzm, jest czysto dla sił czysto ludzkich bezwzględnie nieosiągalnym. Wechodzi tu w grę i wechodzi koniecznie musi ta tajemnicza rzeczywistość, która główną treść i istotę Kościoła stanowi.”

Dobrze się dzieje, że w naszych czasach tak wiele trudu poświęca filozofia dla odczytania sensu historii. Trzeba tylko pamiętać, — o czym pisał J. Turowicz w „Znaku” (nr 19) w swym artykule o Dawsonie, — że „filozofia historii jest dziedziną wiedzy niebezpieczną i uczeni zazwyczaj patrzą w jej stronę z nieufnością... (Ale) z nieufnością łączy się równocześnie tęsknota za prawdziwą filozofią historii, za jej realistycznym wykładem, który by zaspokajał równocześnie tak potrzebę rozumienia i syntezy, jak i wymagania naukowej ścisłości i rzetelności.”

Z. K.

Spotkanie

(dokończenie ze str. 5-tej)

— Powiedzieć ci, co zrobiłem? To zawód księdza, żeby słuchać. Zabierałem pieniądze kobietom. Żeby... ksiądz wie co, i dawałem pieniądze chłopcom...

— Nie chcę tego słuchać.

— To ojca zawód.

— Mylisz się.

— Nie, nie! Nie nabierzesz mnie, Słuchaj. Dawałem pieniądze chłopcom... rozumiesz? Jadłem mięso w piątek.

Ohydna mieszanina pospoliczności i groteski buchnęła pomiędzy żółtych klów, trzymającą kostkę księdza, nie przestawała trząść się.

— Kłamałem. Nie pościłem w Wielkim Poście od nie wiem ilu lat. Raz miałem dwie kobiety jednocześnie. — Opowiem ci co zrobiłem...

Miał ogromne poczucie swej ważności: nie umiał wyobrazić sobie świata, w którym byłoby tylko typowym detałem, świata zdrady, gwałtu i rozpusty, w którym jego hańba była czymś zupełnie nie znaczącym. Ileż to razy ksiądz słyszał takie same spowiedzi. Człowiek jest taki ograniczony: nawet nie potrafi wymyślić nowego występu; zwierzęta umieją tyle samo. I to dla tego świata umarł Chrystus; czym więcej zła widzimy i słyszymy wokół siebie, tym większa chwała otacza tę śmierć. Bardzo łatwo umrzeć dla czegoś, co jest dobre lub piękne: dla domu rodzinnego, dla dzieci, dla cywilizacji — trzeba było Boga, aby umrzeć za letnich? i zepsutych?

— Po co mi to wszystko opowiadasz? — zapytał.

Człowiek leżał wyczerpany; nic nie mówił; zaczynał się pocić; dłoń rozluźniła uścisk na kostce księdza. Ksiądz pchnął drzwi i wyszedł; ciemność była zupełna. Jak znaleźć muła? Stał nasłuchując — coś porykiwało gdzieś blisko. Bał się. Za nim w szafasie paliła się świeca i słychać było dziwny bul-

goczący dźwięk — to metys płał. Znowu przypomniał sobie pole naftowe, kałuże czarne, wolno wypływające na powierzchnię bańki, pękające i znów powstające.

W tych ciemnościach ksiądz potarł zapałkę i ruszył wprost przed siebie: krok, dwa, trzy, wpadł na drzewo. Zapalona zapałka dawała nie więcej światła, niż robaczek świętojański. „Muła! Muła!” — szeptał, bojąc się wołać, żeby go nie usłyszał metys; zresztą mało było prawdopodobne, aby głupie zwierzę mu odpowiedziało. Nienawidził tego muła z jego kiwającą się, jak u mandaryna, głową, z łąką komym ciągle coś żującym pyskiem i z jego zapachem krwi i gnaju. Potarł drugą zapałkę, ruszył dalej i znowu natknął się na drzewo. Z szafasu dochodził wciąż głos żalu. Musi dostać się do Carmen, musi uciec, zanim tam ten człowiek znajdzie sposób skomunikowania się z policją. Znowu zaczął posuwać się w różnych kierunkach: raz, dwa, trzy, cztery... drzewo. Coś poruszyło mu się pod nogami; przyszył mu do głowy skorupiony. Raz, dwa, trzy... i nagle śmieszne rzenie muła doleciało go z ciemności, był głodny a może poczuł w pobliżu jakieś inne zwierzę.

Muła był przywiązany o kilka jardów za szafasem... Ksiądz stracił z oczu płomień świecy. Kończył się zapas zapałek, ale po dwóch nowych próbach znalazł muła. Metys zdjął z niego uprzęź i schował siodło; nie mógł tracić więcej czasu na jego szukanie. Ksiądz wszedł na grzbiet zwierzęcia i zdał sobie sprawę, że nie zmusi muła do ruszenia, jeżeli mu bodaj nie przywiąże sznurka wokół szyi. Zaczął go szarpać za uszy, nie były jednak bardziej wrażliwe, jak klamka u drzwi. Stali ciągle w miejscu niby konny pomnik. Potarł zapałkę i zbliżył ją do boku muła. Muła wierząc gwałtownie

tylnymi kopytami. Ksiądz upuścił zapałkę i zwierzę stało znowu nieruchomo ze zwisającą głową i olbrzymim antydyluwialnym zadem. Rozległ się głos pełen wyrzutu:

— Zostawiasz mnie tutaj... że bym umarł...

— Nie pleć głupstw! Śpieszy mi się. Będziesz zdrow do rana, a ja nie mam czasu czekać.

Coś poruszyło się w ciemności, potem ręka chwyciła jego nogę stopę.

— Nie zostawiaj mnie samego — powiedział głos. — Błagam cię jako chrześcijanina.

— Nic ci się nie stanie.

— Skąd wiesz? Gringo znajduje się gdzieś w pobliżu.

— Nic nie wiem o tym twoim gringo. Nie spotkałem nikogo, kto by go widział. A zresztą to przecież człowiek... jak ty i ja.

— Nie chcę zostać sam. Mam przecucie...

— Dobrze — powiedział ksiądz znużonym głosem. — Poszukaj siodła.

Kiedy osiedłali muła, ruszyli, Metys trzymał się strzemienia. Milczeli — czasami metys potykał się. Pojawiały się pierwsze fałszywe blaski szarego świtu. Ogień o krutnego zadowolenia zapalił się w sercu księdza. Judasz był obok niego, chory, złamany, wystraszony przez ciemności. Wystarczyło podciąć muła, a tamten zostałby w lesie. Raz ukłuł zwierzę trzymany kijem i zmusił je do przejścia w zmęczony klus. Poczuł jak ręka metysa ciągnie za strzemień i stara się zatrzymać muła. Usłyszał stęknienie, brzmiało jak: „Matko Boska!” — i pozwolił mułowi zwolnić. Ksiądz pomodlił się w duchu: „Wybacz mi, Boże...” Chrystus umarł także za tego człowieka. Jak mógł ze swoją pychą, zmysłowością i tchórzostwem uważać się za godniejszego tej śmierci, niż ten metys?

Tamten chciał go zdradzić za pieniądze, których potrzebował. On zaś zdradził Boga za co? Nawet nie za prawdziwą rozkosz zmysłową?

— Żle się czujesz? — zapytał. Nie było odpowiedzi.

Zsiadł z muła i powiedział do metysa:

— Teraz siadź ty. Przejdź się kawałek.

— Nic mi nie jest — powiedział tamten głosem pełnym nienawiści — Lepiej usiądź.

— Jesteś dumny z siebie, co? — powiedział człowiek. Pomagasz wrogom. To bardzo po chrześcijańsku, prawda?

— Czy jesteś moim wrogiem?

— To ty tak myślisz! Zdaje ci się, że uganiam się za 700 pesos nagrody. Myślisz, że takiego biednego człowieka, jak ja, nie stać na to, żeby nie donieść policji...

— Masz gorączkę.

Metys powiedział głosem słabym i fałszywym:

— Naturalnie, masz rację.

— Wsiadaj.

Człowiek o mało nie upadł, ksiądz musiał wsadzić go na muła. Zwisiał żalostnie z grzbietu zwierzęcia i usta jego były tuż prawie przy ustach księdza, ziejąc mu w twarz, cuchnącym oddechem.

— Biedni nie mają wyboru, proszę księdza. O, gdybym był bogaty, choć trochę bogaty, byłbym dobry.

Ksiądz nie wiadomo dlaczego, pomyślał nagle o Dzieciach Maryi, jedzących ciastka Zachichotał.

— Wątpię — powiedział — Czy to była dobroć...

— Co ksiądz mówi? Nie wierzę... — bełkotał metys, — bo jestem biedny, bo mi nie ufasz —

Opadł na kulbaki, dysząc i gocząc. Ksiądz podtrzymał go swoją ręką i posuwali się w stronę Carmen.

Hum. J. d.